

W numerze: Z partyzanckich bojów • Teatr w operze • Na tropach winy •  
Słoń a sprawa polska • Dzień powszedni filmowego Wrocławia • Prawda  
i plotka • Germia • Recenzje • Felietony • Polonica

# Odgłosy



Nr 40 (314)  
4. X. 1964 R.  
10 stron  
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII



## SPRAWY ŁÓDZKICH TEATRÓW

Fragmety dyskusji na tematy działalności teatrów łódzkich w sezonie I.X.1963—I.X.1964. Udział wzięli: z Wyższej Szkoły Teatralno-Filmowej prof. dziekan HANNA MALKOWSKA, doc. dr BOLESŁAW LEWICKI, z Uniwersytetu Łódzkiego — dr STANISŁAW KASZYŃSKI, z Wydziału Kultury Prezydium RN m. Łodzi — kierownik mgr RYSZARD STEFANCIK, z „Odgłosów” i zarządem Zw. Literatów Polskich — WANDA KARCZEWSKA, JAN KOPROWSKI, JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ.

W. KARCZEWSKA — Zaprosiliśmy Państwa do redakcji, przesyłając kilka zasadniczych pytań, wokół których chęlibyśmy poprowadzić naszą dyskusję.

1. Czy w ostatnich latach, a w szczególności w minionym sezonie zaznaczyło się podwyższenie czy obniżenie poziomu naszych teatrów? pod względem repertuarowym pod względem inscenizacyjnym
2. Czy repertuar ubiegłego roku odpowiada potrzebom siedmiusettyśięczonego miasta?
3. Czy nie wydaje się Państwu, że teatry ujednoliciły swoje tw. oblicza, stając się każdym teatrem dla jak najszerszych mas, na skutek czego nikt nie wie, gdzie czego szukać i na co może liczyć. Czy nie byłoby wskazane wyprofilowanie teatrów i zróżnicowanie ich tw. „ambicji repertuarowych”?
4. Czy Łódź nie powinna mieć przynajmniej jednej sceny czy nadszrenki poświęconej repertuarowi „trudniejszemu”, nowszemu, eksperymentalnemu?

Proszę o zabieranie głosu.

JAN KOPROWSKI — Jeszcze parę lat temu teatry łódzkie mniej lub bardziej różniły się między sobą. Dla przykładu: mówiło się, że Teatr Nowy jest teatrem repertuaru politycznego, zaangażowanego, Teatr Jaracza jest od wielkiej klasyki światowej, Teatr Powszechny jest teatrem przygotowującym nowego lub młodego

widza, opartym na repertuarze klasycznym, głównie polskim. Jeżeli tak było istotnie, to trzeba powiedzieć, że dzisiaj teatry zatraciły ten swój charakter. Czy to dobrze czy źle? Oczywiście, że źle, bo jakże tak się stało, że wraz z zatraceniem

Dalszy ciąg na str. 8

ANDRZEJ BERKOWICZ

## CZY KOWALSKI MUSI SIĘ PROCESOWAĆ?

Władysław Kowalski, z zawodu robotnik budowlany, żonaty, dwoje dzieci, wniósł powództwo przeciwko przedsiębiorstwu budowlanemu, którego był pracownikiem, ale on sam uważa, że procesuje się z Państwem. Dyrektor przedsiębiorstwa mu przecież powiedział: ja bym ci bracie dał to odszkodowanie, gdyby to była moja własna firma. Należy ci się przecież. Ale przepisy nie pozwalają mi wypłacić...

Któregoś tam dnia, na budowie, przy której był zatrudniony Władysław Kowalski wydarzył się potworny wypadek. Majster polecił mu wykopać dół, w którym miało lasować wapno. W pewnej chwili ostrze jego łopaty napotkało jakiś twardy, metalowy przedmiot w ziemi, niewidoczny dla oka i w tej samej chwili ogłu-

szył go huk potężnej eksplozji. Władysław Kowalski stracił przytomność, a gdy ją odzyskał, znalazł siebie w szpitalu, już po operacji. Lekarze mu oświadczyli, że życiu jego nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, niestety, na skutek wybuchu niewypału bomby lotniczej Władysław Kowalski stracił rękę, a twarz jego w poważnym stopniu uległa zeszpeceniu. Komisja lekarska ZUS, przyznała mu III grupę inwalidzką, orzekła bowiem, że Kowalski jest tylko częściowo niezdolny do wykonywania zatrudnienia. No tak, ale co po bezrękim faciecie na budowie, mógłby iść najwyżej na stróża nocnego. Kowalski zarabiał na budowie 1800 złotych, teraz jego renta miała wynieść dokładnie połowę tej sumy, w III grupie inwalidzkiej wypłaca się bowiem 65% od uposażenia do 1200 zł, a od pozostałych 600 zł otrzymywałby już tylko 20%.

Nie miał, oczywiście, pretensji do lekarzy, że dali mu III grupę inwalidzką, a nie pierwszą, przy której otrzymywałby rentę wynoszącą 100% jego dotychczasowych zarobków. Rozumiał, że takie są przepisy i w końcu rzeczywistość może zostać tym stróżem nocnym. Nie znaczy to jednak wcale, że Kowalski nie miał w ogóle pretensji. Zanim jeszcze poszedł do

adwokata, rozumiał dobrze, że stała mu się krzywda i ktoś powinien za nią zapłacić. ZUS dał mu rentę inwalidzką, ale on uważał, że należy mu się renta w pełnym wymiarze jego zarobków. A kto zapłacił za oszpecenie twarzy, ból fizyczny i krzywdę moralną? ZUS za takie rzeczy nie płaci.

Kowalski dobrze wiedział kto powinien zapłacić. Wypadek zdarzył się podczas godzin pracy, kopał dół na polecenie majstra, nikt go nie pouczył, że grozi niebezpieczeństwo wybuchu niewypału, dla niego więc nie uległo wątpliwości, że winę za jego kalectwo ponosi przedsiębiorstwo budowlane, Kowalski wtedy jeszcze ani myślał się procesować, sprawa nie tylko jemu wydawała się bezsporna, ale i wszystkim jego kolegom. Mówili mu: idź do dyrektora i załatw z nim polubownie. To przecież bardzo przychylny człowiek...

Kowalski poszedł więc rzeczywiście do dyrektora, ale wówczas się okazało, że je-

Dalszy ciąg na str. 4





Karykatury w rodzaju: de Gaulle w kusym ubranku z węzłem na plecach, tramp z gitarą w ręku przekraczający z kraju do kraju, czy też ironiczne nagłówki - oto w największym skrócie reakcja prasy amerykańskiej na 26-dniową podróż prezydenta Francji do 10 krajów Ameryki Łacińskiej, podróż rozpoczętą w ub. tygodniu od stolicy Wenezueli - Caracas.

Jest to jednak - można rzec - „śmiesznie przez to”. Jakby bowiem prasa północnoamerykańska nie próbowała pomniejszyć i ośmieszyć zaoceanicznych wojaży przez de Gaulle'a - z podtekstu, a często nawet z samego tekstu komentarzy wyziera wielki niepokój, jakie skutki ekonomiczne i polityczne może przynieść ta niemile widziana przez Waszyngton eskapada francuskiego męża stanu.

Pisząc z przekąsem o „obsesji” i „megalomanii” prez. de Gaulle'a na punkcie „cywilizacyjnej misji Francji w świecie” politycy i komentatorzy amerykańscy starają się nawzajem pocieszyć. „Krótkość pobytu w poszczególnych krajach wyklucza poważne dyskusje”. „Cóż innego ma do zaoferowania de Gaulle prócz róż i confetti?”. „Jest to tylko element kampanii wyborczej de Gaulle'a”.

I nawiązując do pierwszych manifestacyjnych powitań prezydenta w Ameryce Łacińskiej: „Gościnność południowoamerykańska nie zawsze jest barometrem prawdziwych uczuć...”

Nikt jednak - łącznie z autorami tych zapewnień - nie wierzy, że tak jest naprawdę. Wszyscy, by znów zacytować prasę USA, wiedzą, że de Gaulle podróżuje, by „głosić kulturalny antyamerykanizm”.

Grunt - trzeba to przyznać - jest po temu wiele podatny. Przez Amerykę Łacińską przechodzi bowiem fala antyamerykańska, obudzona przykładem socjalistycznej Kuby. Nie przeto dziwnego, że wszelkie koncepcje niezależności, z gaulistowską łącznie, znajdują tam pewne zainteresowanie.

„Ameryka Południowa - pisze „Chicago Daily News” - z jej zapamiętanymi problemami ekonomicznymi i historyczną nieufnością wobec USA może okazać się dobrym słuchaczem”.

„Perspektywa więc nawiązania ścisłych stosunków gospodarczych z Francją, a tym samym słowem rynków zbytu dla towarów amerykańskich, a nade wszystko polityczne konsekwencje wizyty spędzają przysłowiowy sen z powiek waszyngtońskim politykom.

De Gaulle obiecał wprowadzić w

nieczym nie podważać w tolu swej podróży, wpływów północnego potężnego sąsiada, czy można jednak mu ufać?

„Nawet, jeśli nie będzie dążył do podsywania utajonych nastrojów antyamerykańskich - ubolewa „New York Times” - może przecież głosić swą doktrynę niezależności narodowej... wskazać, że przed tymi rządami stoi otworem inna droga poza zależnością od USA”.

Wzruszające wyznanie. Jasnej, przynajmniej, nie można było wyłożyć, co dreczy Stany Zjednoczone.

Obawy zresztą uzasadnione.

Bo - proszę - pomyślcie tylko: w tradycyjnej strefie wpływów USA zjawia się polityk, który dał się poznać ze swojego „ja”. Polityk, mający wobec atlantyckiej wspólnoty nie jeden „grzech” na sumieniu. Przypomnijmy główniejsze z nich: sprzeciw wobec wielonarodowych sił nuklearnych, nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Chińską Republiką Ludową, głoszenie pokojowej drogi rozwiązywania problemu wietnamskiego, potwierdzenie granicy na Odrze i Nysie...

A przecież jest to lista daleko niepełna. Niektórzy twierdzą wręcz, że wszystko, co robi de Gaulle od pierwszego niemal dnia, gdy objął władzę, zmierza do podważenia zachodniego sojuszu. Jakże więc nie niepokoić się nowym jego wyznaniem? Tym bardziej że wybory prezydenckie tuż, tuż...

Tymczasem 74-letni de Gaulle, który odbywa właśnie najdłuższą podróż swojego życia, święci pierwsze triumfy. Swą obecnością wywiera on większy wpływ niż miliardy dolarów, jakimi USA dla utrzymania nadwrotnych więzów próbują zalać ubogie kraje Ameryki Południowej. Przyświecająca jego podróży dewiza: niezależność i współpraca zapuszcza pierwsze korzenie.

Zostawmy jednak te smartwienia politykom Stanów Zjednoczonych i zwróćmy uwagę na jeszcze jeden aspekt podróży de Gaulle'a.

Niemal na miesiąc pozabawił de Gaulle swą obecnością Francję i formalnie najbliższego sojusznika - Niemcy zachodnie.

Czy w tym czasie nie rozkleił się do reszty będący w stanie agonijnym sojusz Paryż-Bonn?

Austriacki dziennik „Neue Zeit” pisze:

„Nowe kroki Francji w kierunku wschodnim są tak częste i tak dobitne, że nasuwa się pytanie: czy chodzi tu o oznaki rozdziewiędzenia z Bonn; strachy ostrzegawcze, czy też raczej o radykalny zwrot w niemieckiej polityce Francji?”

W tej sytuacji, nieobecność de Gaulle'a może być przez Bonn umiejętnie wykorzystana. Gdyby tak się stało, zagmatwane już dziś stosunki Francja - Niemcy zachodnie mogłyby znaleźć się w prawdziwym ślepiym zaułku.

Wtedy - prawie na pewno, mające odbyć się jesienią br. spotkanie de Gaulle-Erhard byłoby trudniejsze niż kiedykolwiek.

W. SŁAWSKI

## Korespondencja własna z Wielkiej Brytanii

# LONDYN - MIASTO KOLOROWYCH

„Dajcie mi dusze Murzynów. Niech będą czarne, albo jak czekolada, albo jak popiół - szare. Ale lepiej niech będą czarne, czarne...”

Tak rozpoczyna swój poemat „Raj afrykański” - Frank Parks, poeta Ghany. Jest to utwór o wyraźnych akcentach nacjonalistycznych, utwór celebrujący kolor czarny. Dla F. Parksa Murzyn jest jednostką bardziej wartościową niż Europejczyk. Jest jednostką bardziej humanitarną, dysponującą pełnią cnót chrześcijańskich.

W tym swoim wiecznym poszukiwaniu upragnionego raju kolorowi coraz głębiej posuwają się na północ.

Kiedyś w czasie rozmowy jeden z Anglików powiedział, że Londyn wcale nie jest angielskim miastem. Wprawdzie jest on stolicą Anglii (a także Wielkiej Brytanii), ale jedynie częścią kraju. Dopiero po

dłuższym pobycie w Londynie miałem się przekonać, że to paradoksalne stwierdzenie wcale nie jest takie dalekie od prawdy. W stolicy Zjednoczonego Królestwa mieszka 9 milionów ludzi. Jaka część tej liczby przypada na Anglików? Może jedna dziesiąta... W każdym bądź razie, mimo ostrego wystąpienia konserwatystów, rząd brytyjski nie wydał jeszcze zarządzenia powstrzymującego przybycie emigrantów. I w dalszym ciągu przybywają z Afryki, Pakistanu czy Indii przyjeżdżają na Wyspy i zatrzymują się na stałe.

Prawie wszyscy kolorowi studenci po skończeniu uniwersytetu nie kwapią się z powrotem do ojczyzny. Nie wracają jeszcze do domu, ponieważ stypendia otrzymują od rządu brytyjskiego i raczej nie mają żadnych poważniejszych zobowiązań w stosunku do swoich krajów.

Na wszystkich Hindusów, jakich znam, tylko jeden wrócił do Indii - powiedział jeden z wykładowców uniwersytetu w Cambridge.

Na zalanej słońcem londyńskiej ulicy coraz częściej można spotkać Murzyna, Hindusa, Pakistańczyka, Chińczyka, albo Japończyka. Niektórzy z nich są ubrani jeszcze w swoje stroje ludowe, inni natomiast już jeżdżą samochodami. Trudno byłoby na mapie Londynu wyznaczyć miejsca, w których mieszkają. Kolorowych można spotkać wszędzie. Nawet w najbardziej ekskluzywnych dzielnicach - w Hampstead widzianym elegancko ubranego Murzyna, który wyjeżdżał z garażu samochodem najnowszej marki. Biała koszula, nienagannie uszyty garnitur, złote sygnety na palcach. Wcale w to nie wątpię, że mam

przed sobą okaz murzyńskiego burzua. (Najdławkawse jest to, że najlepiej ubraną grupę londyńczyków stanowią kolorowi).

Kolorowi mieszkają w różnych częściach Londynu. Są wytrzymali, przyzwyczajeni do niewygód. Nie domagają się by im podwyższono zarobki (w Anglii zarabiają dużo więcej niż tam, skąd przybyli). Nie są wybredni. Przyjmują prawie każdą pracę. Są windlarzami, kucharzami, -onduktorami. Zamiatają ulice, obsługują metro. Urządzają się jakoś w tym wielkim mieście, zakładają rodziny.

I dopiero tutaj znajduje się początek prawdziwego problemu. Nie, Anglicy wcale nie są oburzeni, że przybywają żenia się z ich rodaczkami. Wszystko byłoby w porządku, gdyby ci przybywcy mieli trochę jaśniejszą skórę.

-Kobiety wystarczy dla wszystkich - powiedział gospodarz domu, w którym mieszkałem - ale taka emancypacja może mieć bardzo złe następstwa.

Oczywiście, Anglicy nie dyskryminują kolorowych na sposób amerykański. Nie palą krzyży na wzgórzach, nie oblewają czarnych smółką i nie posypują pierzem. Anglicy są powściągliwi w swoich poczynaniach. „Think before you cross” - „Pomyśl zanim przejdziesz przez ulicę” - głosi napis przy skrzyżowaniach. I Anglicy myślą.

Owszem, spotykałem Angliki, które zostały żonami Murzynów. I nikt za to nie potępia. Anglicy w minimalnym stopniu interesują się sprawami osobistymi swoich sąsiadów. Białe żony kolorowych, to przeważnie kobiety zamieszkujejące slumsy.

-Yes, nowadays London looks like Harlem. Obecnie



Idą złote czasy!

Londyn coraz bardziej przypomina Harlem - powiedział jeden z dziennikarzy brytyjskich.

Na szczęście jedynie przypomina. W Londynie nie ma napisów: „Tylko dla białych”. Londyńczyk nie wstydzi się wejść z Murzynem do kawiarni. No tak, ale biali londyńczyk nie zaprasza do swego domu kolorowych. Makyma „My home is my castle” - „Mój dom jest moją twierdzą” - w tym przypadku chroni i tłumaczy białego londyńczyka. Na ogół są oni bardzo poprawni w swoich kontaktach z kolorowymi.

Wydawałoby się, że wszystko jest o.k. Ale wystarczy przejść ulicami Londynu, przejrzeć angielskie popołudniówki, albo posłuchać radia.

Na ulicach rozkładaono plakaty: policja poszukuje Murzyna, który zamordował białą kobietę.

Murzyn - student uniwersytetu został aresztowany za fałszowanie banknotów pięciofuntowych.

Londyńska BBC nadała reportaż, w którym dzieci kolorowych skarżą się, że są źle traktowane przez swoich kolegów w szkołach.

„Białe dzieci przezywają nas czarnuchami, mówią, że czarni śmierdzą. Nie chcą się z nami bawić” - powiedziała Betty S. uczennica jednej z londyńskich szkół.

-Robimy wszystko, żeby nie wznęcać w naszych uczniach nienawiści rasowej - powiedział jeden z nauczycieli.

Kiedy jechaliśmy na weekend, na ścianie domu, daleko na przedmieściu Londynu zauważyłem napis: NO RACE HATE! (precz z nienawiścią rasową). Litery były białe i duże. Nie można było ich nie zauważyć. Same rzuciły się w oczy i zmuszały by je zapamiętać.

Z czarnymi jest bardzo trudno współżyć - powiedział młody mnich, student ekonomii w Cambridge. - Proszę sobie wyobrazić, że ni stąd ni zowąd urządzają przyjęcia na ulicy. To Anglików szkokuje i dlatego od nich uciekają. Kolorowi są bardzo impulsywni. I to Anglików przeraża...

Londyn, sierpień, 1964

ROMAN GORZELSKI

## SPEKTAKLE tygodnia

FILM

WŁOKNIARZ - „Słodkie życie”	28 seansów	8 686 widzów
POLONIA - „Prawo i pięść”	35 seansów	10 957 widzów

TEATR

NÓWY - „Wybór”	5 spektakli	2 000 - 65%
„Wicek i Wacek”	4 spektakle	2 200 - 80%
NÓWY - „Garsz płasku”	Mala Sala 3 spektakle	450 - 75%
„Cale życie”	1 spektakl	180 - 90%
JARACZA - „Ania z Zielonego Wzgórza”	5 spektakli	3 300 - 88%
POWSZECHNY - „Piosenka prawdę ci powie”	4 spektakle	2 494 - 93%
„Romeo i Julia”	2 spektakle	1 090 - 82%
7.15 - „Porwanie Sabinek”	6 spektakli	2 054 - 80%
„Gość z kosmosu”	2 spektakle	868 - 100%
OPERA - „Legenda Bałtyku”	1 spektakl	528 - 80%
OPERETKA - „Ułani księcia Józefa”	5 spektakli	5 342 - 89%
FILHARMONIA - 2 koncerty symfoniczne		1 200 - 75%

Cyfrы procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

## Książki nadesłane

Stefan Durski - „Ludwik Adam Dmowski”. Monografia jednego z czołowych artystów scen polskich XIX w. Wydawnictwo PIW, 1964, str. 123, cena 15 zł. Ludwik Adam Dmowski był reżyserem dyrektorem Teatru Narodowego, wykładowcą szkoły dramatycznej, kronikarzem sceny, dziennikarzem, plodnym autorem i tłumaczem utworów sceniczných.

Tarjei Vesaas - „Piaki”. Wydawnictwo PIW, 1964, str. 212, cena 13 zł. Powieść wybitnego pisarza norweskiego zająłującego jedno z miejsc w literaturze europejskiej, często nagradzanego i ostatnio Nagrodą Królów Skandynawskich. „Piaki” tłumaczone przez Beatę Hiasko, mówi o tragedii człowieka nadzwyczajnego. Książka niezwykle prosta, pełna poetyckiego uroku.

Leon Leja - „Kształcenie kadr zawodowych w koniarskim i tarnobrzeskim rejonie przemysłowym”. Wyd. Poznańskie, 1964 r., str. 278, cena 21 zł.

Analiza zagadnienia kształcenia kadr w nowych ośrodkach przemysłowych (węgiel brunatny i siarka).

Lech Trzeciakowski - „Walka o polską miast Poznaniaśkiego na przełomie XIX i XX wieku”. Wyd. Poznańskie, 1964, str. 242, cena 21 zł. Monografia poświęcona zagadnieniom germanizacji regionu poznańskiego w ostatnich latach zaborów.

Edward Serwański - „Obóz zagłady w Chełmie nad Nemem”. Wyd. Poznańskie, 1964, str. 84, cena 2 zł.

Zarys dziejów hitlerowskiego obozu zagłady, gdzie w latach 1941-1945 zamordowano 260 tys. ludzi, m. in. Żydów z getta łódzkiego.

Remigiusz Moszyński, Leopold Polucha: „Lublin w okresie okupacji”. Wyd. Lubelskie, str. 171, cena 25 zł.

Monografia Lublina w latach 1939-1944 opracowana na podstawie badań sądowych Miejskiej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Janos Erdödy „Ardetno w Wenecji”. PIW. Ciekawa powieść węgierskiego pisarza o wyjątkowej wszechstronności zainteresowań i różnorodności sprawianych gatunków.

# POLONICA

Wychodzący w Ostrawie bogato ilustrowany miesięcznik literacki „Cerveny květ” poświęca zawsze wiele miejsca literaturze polskiej. W dwu ostatnich numerach tego pisma zamieszczono fragmenty prozy Tadeusza Różewicza, Wilhelma Szewczyka i Jana Pierzchały, wiersze Stanisława Horaka i Bolesława Lubosza oraz kilka artykułów: Witolda Nawrockiego o współczesnej literaturze Górnośląska, żyjącego w Czechosłowacji poety polskiego Henryka Jaszczka o Grunwaldzie, Oldricha Rafaja o ostatnich przekładach książek pisarzy polskich w CSRS. Grafikę polską w 8 numerze „Cerveny květ” reprezentują kilkanaście litografii - Stefan Suberlok, Jan Nowák, Jerzy Moskal i Zygmunt Lis. Redakcja zapowiada druk artykułu o łódzkim środowisku literackim w jednym z najbliższych numerów swego pisma.

We wrześniowym numerze sarajewskiego miesięcznika „Život” znajdziemy wybór z twórczości Stań. Jerzego Leca: kilkadziesiąt „myśli nieuczestnych”, kilkadziesiąt fraszek i szereg wierszy z tomu „Do Abła i Kaina” w przekładzie Jana Berana. Pióra tegoż autora, Berana, „Život” zamieszcza (szkoda tylko, że tego nie zaznaczył) fikcyjny wywiad z Lecem pt. „Trzy piwa ze Stań. Jerzym Lecem”, zestawiony bardzo umiejętnie z wypowiedzi pisarza w innych wywiadach dziennikarskich i radiowych. W lipcowym dodatku literackim do „Dageas Nyheter” (Sztokholm) przeczytaliśmy trzy portrety literackie naszych pisarzy: Marii Dąbrowskiej, Jerzego Andrzejewskiego i właśnie Stanisława Jerzego Leca. Będą one włączone do tomu pt. „Polska”, którego autorem jest Folke Isaksson.

W 11 numerze wychodzącego w Nowym Jorku w języku polskim kwartalnika pn. „Tematy” znajduje się recenzja z książki Richarda Bankowsky'ego „On A Dark Night”. Richard Bankowsky jest pisarzem polskiego pochodzenia. W powieści, o której mowa, opisuje on życie Polaków w Ameryce. Recenzent „Tematy” pisze o tej książce: „Styl powieści jest kwiecisty, ton złowieszczy, a opisane w niej wydarzenia kończą się katastrofą. Bankowsky jest wybitnie utalentowanym pisarzem, piszącym w stylu Faulknerowskim”.

„Die Andere Zeitung” (z 17 września br.), wychodząca w Hamburgu, przynosi następujące wiadomości. Najnowsza sztuka Sławomira Mrożka pt. „Tango” została przetłumaczona na język niemiecki i będzie wystawiana w berlińskim teatrze Barloga w gościnnej reżyserii Erwina Axera. W tym samym numerze znajduje się recenzja o wydanej w NRF książce Jerzego Andrzejewskiego „Warszauer Karwoche”. Recenzja jest bardzo pochlebna, autor dziwi się jedynie, dlaczego książkę tę wydano w nowym tłumaczeniu, skoro była już wydana w 1948 w Wiedniu, w bardzo dobrym przekładzie Oskara Jana Tauschinsky'ego.

W 14 numerze hamburskiej „Die Welt der Literatur” (z 17 września br.) Herbert Heckmann drukuje obszerną recenzję o wydanych w języku niemieckim szkicach Bruno Schulza pt. „Vater geht unter die Feuerwehrmänner”. Autor recenzji pisze między innymi: „Fakt, że Bruno Schulz tłumaczył na polski Kafkę, że niektórym nasuwać myśl podobieństwa a nawet zależności Schulza od Kafki. Ale przy bliższym wejściu w sprawę tzn. przy dokładniejszej lekturze ujawnia się cała odmienność i specyficzność Polaka. Jego proza posiada w wysokim stopniu zdolność przemieniania najbardziej nieczystych nawet wyobrażeń w symbolizmo-instalacyjne panopticony”.

# POLONICA



# Z PARTYZANCKICH BOTÓW

„Walki pod Gruszką były największą bitwą stoczoną w latach 1939—1945 na Kielecczyźnie i jedną z największych bitew partyzanckich w Polsce. Niemiecka operacja, której celem było zniszczenie zgrupowania partyzanckiego w zachodniej części Gór Świętokrzyskich, zakończyła się zupełnym fiaskiem. Mimo zaskoczenia, mimo znacznej przewagi nieprzyjaciela, i to zarówno w ludziach, jak i sprzęcie (czołgi, artyleria) oraz mimo niedogodnego dla obrony terenu oddziały AL zdolały przetrzymać całodzienny napór przeciwnika, a następnie w całości wyjść z okrążenia. Nieudana operacja pod Gruszką kosztowała hitlerowców ponad 200 zabitych i rannych, a ponadto 4 czołgi, 1 samochód pancerny oraz 1 samochód osobowy. Straty oddziałów AL były znacznie niższe i wynosiły około 50 zabitych i 70 rannych... Ze strony niemieckiej, jak podają dokumenty AL, zginął dowódca oblawy gen. Steinbock”. (Bogdan Hillebrandt — „Działania Gwardii i Armii Ludowej na Kielecczyźnie”, Wyd. MON, Warszawa 1962 r.).

Następnego dnia po odebraniu zrzuconego i rozdzieleniu broni pomiędzy poszczególne bataliony I i II brygady oraz inne oddziały zgrupowania partyzanckiego, (było z nią potwornie dużo roboty; automaty, młotki, rusznice przeciwpancerne i karabiny maszynowe były znakomicie zakonserwowane smarem) uczestniczyłem w radzie na szczeblu grupy dowodzenia. Pełniłem wówczas funkcję zastępcy szefa uzbrojenia brygady. Planów było co najmniej dwa. Pierwszy z nich przewidywał mobilizację w garnizonach, przynajmniej z najbliższych rejonów operowania oddziałów AL. Nic nie wskazywało powagi sytuacji, która nadciągała „gradową” chmurą.

28 września o zmierzchu por. „Marat” zajął do mojej kwatery. — Wpadnij do mnie o ósmej. Niczego nie podejrzewałem. Zapomniałem zresztą, że dziś Waclawa.

W chacie było jasno i gwarno. Część gości Wacka siedziała na czym się dało, okalając stół. Królowały na nim wypełnione butelki i szklanki. Na stole toczyły się rozmowy. Dostarczyłem dowódcę brygady — „Lokietka”, a także kpt. „Orkana”, por. „Dulkę”, „Rozłuckiego”, „Azję”, „Przełom”, „Zewa”, „Alka” i innych.

Wypiliśmy zdrowie Wacka. A potem były bardziej wzniosłe toasty. Szklanka bimbru z miodem zrobiła na mnie odpowiednie wrażenie. Po ciele rozlało się przyjemne ciepło, oczy błyszczały, z pewnością tak jak innym, menaturalną wesołością.

Zaczęły się też natchmiast prorocтва na temat radzieckiej ofensywy, końca wojny — lada dzień — no i polskiego szan-daru na Bramie Brandenburskiej, który każdy z nas miał by tam zatknąć.

Debatowaliśmy nad odebraniem kapita-listom ich własności, a dzieciom — fol-warków. Operowaliśmy lapidarnym skrót-em: fabryki — robotnikom, ziemia — chłopom.

Potem zaczęły się śpiewy. Podjudzał „Azja” (brygadowy zapiewajko). Na pierwszy ogień poszedł ulubiony czardasz kapita-na, potem wszystko co partyzanckie, aż przy-sza kolej na końcówki akord będący wyznacznikiem wiary: „Gdy naród do boju wy-stąpił z oczyma...” i „Międzynarodówka”. Te dwie pieśni sprawiły, że po musku-lach twarzy zawsze przebiegały mi drze-sze. Uważałem, że „Międzynarodówka” na-leży śpiewać w wielu językach. Przynaj-mniej refren. Dziś, śpiewałem — starając

się przekrzyknąć innym — po francusku — „C'est la lutte finale...” może dlatego, że to były imieniny „Marata”.

Rozeszliśmy się wieczorem. Rankiem nie było śladu po imieninach Wacka. A jeśli nawet coś we krwi pozostało, to rozpadło się wraz z pierwszymi strzałami.

Nie czuję się powołany dokonać woj-skowej oceny bitwy pod Gruszką ani szki-cować historycznej jej syntezy. Trudno byłoby mi ogarnąć ją w całości, skoro to co piszę ma być osobistym doznaniem, wspomnieniem uczestnika, w jakimś sensie — impresją.

Genialny Tolstoj w „Wojnie i Pokoju” wy-raził znakomitą myśl: plany bitwy, naj-bardziej nawet doskonale, zmieniają się w toku walki niejednokrotnie w bezuży-teczne papierości. O jej wyniku decyduje re-fleks, odwaga, determinacja, inteligencja, brawura, męstwo poszczególnego żołnierza.

przedpole. Na odcinku II brygady panował na razie spokój.

Dopiero około godziny jedenastej, po silnym przygotowaniu artyleryjskim, Niemcy ponowili tu atak. Równocześnie, nie osła-biając uderzeń na pozostałych kierunkach, uderzyli od zachodu i północnego zachodu.

Wysunięty głęboko do przodu, ukryty za małym pagórkem, obserwowałem przed-pole. Musiałem uczynić jakiś nieopaczny ruch, gdyż zauważył mnie hitlerowski „stajper” i wokół wzgórz zaczęły coraz głośniejsze padać pociski. Pośpiesznie zmieni-łem stanowisko. Pojawili się czołgi. Chłopc-y skoncentrowali na nich ogień rusznicy.

— Likwidować tabory! Chyba jest rze-czywiście źle, gdyż takiego rozkazu jesz-cze nigdy dotąd nie było.

Wyjał pociski, terkocze broń maszynowa, sucho trzaskają karabiny atakującej tyra-liery. Czął ten potworny hałas zlewa się w akordy niesamowitego koncertu. Czołgi prą naprzód. Ze straszliwym hukiem pę-kają nasze granaty przeciwpancerne. Kłó-ryś z nich był celny. Płonący czołg praw-em bezwładności toczy się po pochyłości.

Niemieckie miotacze ognia macają naszą broń maszynową. Co chwila zmienia stano-wisk. Dziełnie biją się chłopcy, lecz pod upartym naciskiem przeważających sił nie-przyjaciela, niektóre plutony ustępują. Od pieramy jeszcze jedno silne natarcie i po-woli wycofujemy się. Zmniejsza się obwód systemu obrony okrężnej. Odwrót osłania pluton cekaemów „Zewa”. Dolatuje mnie jego donośny głos: „Kierunek stodoła, ce-łownik 200! Ognia!”

Koncentrujemy się w małym łasku, za

ręcznej broni maszynowej. Hitlerowcy znów ruszają do ataku.

— Nie podejdą! — syczą przez zęby — Ognia!

Sierżant „Hardy” w postawie stojącej strzela z rkm-u. Wreszcie hitlerowska tyra-liera łamie się. Za nią idzie druga. Już tylko 80 metrów. Wita ją znowu salwa na-szych automatów. Ściana ognia.

Porucznik „Marat” jest ciężko ranny. Są i zabici.

— Chłopcy! Trzymać się! Tylko do wie-czora! — słychać poprzez strzelaninę głos dowódcy.

Około godziny 16 hitlerowcy zdołali wbić w nasz system obrony dwa kliny i zająć płonącą wieś Gruszkę. Ale już nadchodził zmrok. Po nieudanych atakach, mających na celu rozszerzenie wyłomów i rozbicie naszych oddziałów, Niemcy zamilkli.

Było oczywiście, że chodzi im o to, aby umocnić się na swych pozycjach i rankiem uderzyć z nową siłą. Mieli ogromną prze-wagę w ludziach i sprzęcie. Mogli nas roz-bić i całkowicie zniszczyć. Należało jak najszybciej wycofać się z kotła.

Późnym wieczorem przetruciliśmy się na nowe stanowiska. Docieramy do wzgórz położonego na północny-wschód od dotych-czasowego m.p. Znajdowały się tu już nie-które oddziały I i XI brygady AL. Z naj-bardziej bojowych żołnierzy brygad ufor-mowany zostaje batalion szturmowy. Do-wództwo batalionu powierzono kpt. „Orka-nowi”. Batalion liczył około 300 ludzi.

Dwie próby przebieca się w kierunku na Dobrzyszów i Sarbice zakończyły się nie-powodzeniem. Być może hitlerowcy spo-dziewali się ataków na tym odcinku. Był bowiem bardzo czujni i dobrze umocnili się w korzystnym dla siebie terenie. Dę-puścili nas bardzo blisko i z niewielkiej odległości zasypali gęstym płaskim ogniem, zmuszając przywrzeć do ziemi. Nie zdoby-liśmy się nawet na wymianę strzałów, tak gwałtowny i zaskakujący był ten ogień.

Wycofaliśmy się z dużymi stratami.

Dostałem rozkaz nawiązania kontaktu z majorem „Zygmuntem”. Docieram do nie-go pod ogniem broni maszynowej. Wszę-dzie słychać jęki rannych. Powonienie draż-ni, mdły zapach krwi. Pod drzewem leży partyzant. Ma urwaną nogę. Prosi żeby go dobić.

Udaje mi się sprowadzić pomoc. Zabie-rają go na skleponych z gęstej noszach.

Mijają godziny. Zdenerwowanie narasta. Coraz rzadziej słychać strzały. Lesem wstrząsa jesienna wichura, a gdzieś na po-lu przejmująco ryczy błakające się po ugo-rach bydło.

Zbiórka batalionu szturmowego. Mamy uderzyć w przeciwnym zupełnie kierunku.

— Żołnierze — przemówił do nas „Lokiet-tek” — za chwilę ruszamy do de-ydującego natarcia. Musimy się przebić. W przeciwnym razie wszyscy zginieją. Ofiary będą. Ale od naszego szturmu zależy zwycię-stwo, uratowanie rannych i odciętych od-działów. Musimy się przebić! Naprzód! Za Polskę!

Zarządzono bezwzględna ciszę. Nie wolno palić. Gęszo, — jak — długi — wąż — pelzający — bezzęszelnie, idziemy leśnym wzgórzem ku otwartym, gołym pólom. Trzask pę-kającej pod stopą galezi razi wystrzony czuj-nością słuch. „Tsst!” — jeden drugiemu nakazuje ciszę.

Szerokim pasem zajmujemy stanowiska na rwiernie łasku. Przed nami rozległe, za-orane pole, gdzieś niedaleko nastroszone bady-lami suchego łubinu. W górze, wyszłifo-wany na srebro przez pedzace chmury — księżyc. Czuję w sercu chłód tej księżycowej poświaty.

Wiatr przynosi swąd spalenizny. Hory-zont świeci łunami pożarów. Płoną lasy. Płoną wsie. Dudnią po szosach czołgi, ma-jąca ślepią wozów pancernych. Tam, w przodzie, z palcem na spuście przycał się wróg.

„Ruszamy” — podaje po linii otrzymany rozkaz. Zaroło się pole postaciam. Pieć-dziesięciometrowy skok po równinie, bez żadnych osłon. Idziemy cicho jak widma. Przed nami kamienny wał. Rumor zsunie-tego glazu razi uszy niczym huk artyleryjskiego wystrzału. Rece zaciskają mocno broń... Cisza, jeszcze się nie zaczęło. I znów pięćdziesiąt metrów naprzód marsz. Rozróżniłem już poszczególne głosy hitler-owskich pięćców. Czyżby ogłuchli, oślepli? O noy! Partyzancka strategia!

Ognia mnie niegłe uczucie desperackiej radości. Gardło dawi jakby urywany śmiech. Przypomina mi się wiersz z dziecińczych lat: „Najpierw powoli, jak żółw ociężałe, ruszyła...” Czuję, że w takt tej myślowej deklamacji poruszam nogami.

Nagle z prawego skrzydła przecina niebo błyskawica — sycząca raketa, a potem ce-le niebo płonie już w blasku rakiet. Okrzyk „Orkana” porwa szereg do szturmu: Naprzód! Rozkaz wrzyna się potężną siłą w mózg, w krew. Tętna pulsują: naprzód! Zrywają się z odrodzoną mocą nogi. Bie-gać krzyżując, choć nie słyszę swego głosu — Huuurrrra! Huuurrrra!

Huraganowy, ale chaotyczny ogień zasko-czonych Niemców przestaje być groźny, chociaż sypła na nas prawdziwa lawa pocisków. Gorący powiew uderza w roz-paloną twarz. Spragnione wargi chciwie spijają pot zalewający twarz. Nie szukają osłony wypielze z orbit oczy, choć leżą im na wprost ogniste, gwizdzące pociski.

— Naprzód! — krzyczy do mnie kpt. „Or-kan” i sam wysuwa się do przodu, w bie-gu strzelając z automatu.

Wybuchy pocisków wyrwyją drzewa. Płoną lasy. Magazynki automatów opróżnia-ją się z niesłychaną szybkością. Z mroku wyrasta przed mną stodoła ziejąca ogniem broni maszynowej. Pruję do niej z auto-matu. Masz rzuca granat. Naprzód! Gra-naty. Huuurrrra!

W trójkę, pedząc na samym przodzie ba-talionu szturmowego rzucamy granaty. Pot-knąłem się o nikił pagórek. Odkoczył z brzękiem. To hełm. Fszysz! wieja.

I nagle ucicha wrzawa bitwy. Cisza aż kłuje w uszy. I znów marsz. I świadcość, że już po wszystkim. Przebił się. A potem świt. Starczyło nocy.



1. H Brygada AL  
2. XI Brygada AL  
3. 3 bat. I Bryg. AL  
4. 1 bat. I Bryg. AL  
5. 2 bat. I Bryg. AL  
6. oddz. Tadek Białego  
7. oddz. Filuka  
8. oddz. Anatola  
9. oddz. Anatola

— proba przelamania okrążenia  
— kierunek marszu głównych sił partyz. po wyjściu z okrążenia  
— kierunek marszu 2 bat. I Bryg.  
— miejsca zrzutów

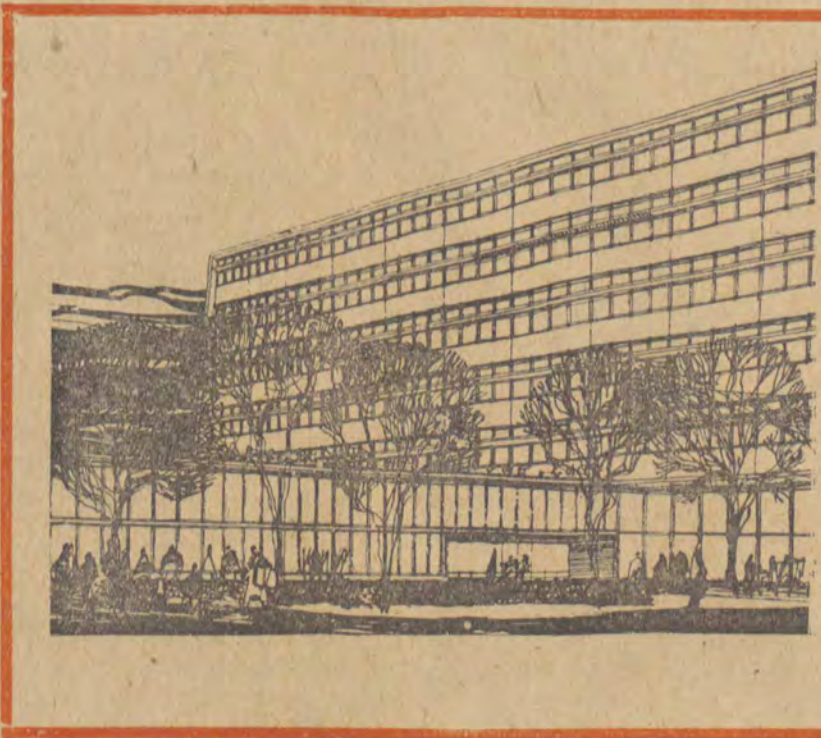
← kierunek działań niepla  
← sztab bryg. panc. niepla  
← rejon koncentracji wojsk niepla  
◆ skupienia czołgów niepla.

Pasuje jak ułal do warunków walki party-zanckiej.

29 września 1944 roku o godzinie ósmej rano hitlerowcy podjęli próby rozpoznania dyslokacji naszych oddziałów. Nastąpiła ostra wymiana strzałów. Kilkanaście minut później Niemcy przypuścili atak na kie-runku północnym. Napotkali jednak zdecy-dowany opór zgrupowanych tam naszych oddziałów. To był dopiero początek. Po chwili, ze wszystkich stron, zagrzmiała ka-nonada. Hitlerowcy przygotowywali natar-cie ogniem dział i moździerzy, a nasze od-działy nie dopuszczały ich tyralierą na

ogromnym zwałem kamieni, stanowiącym naturalne umocnienie i rozwijamy linię obrony. Pociski z rykiem wybuchają o kilkanaście metrów za naszymi stanowiska-mi... Dym, kurz, huk. Na chwilę zapadła cisza. A wtedy donośny głos „Lokietka” niesie po stanowiskach — Chłopcy! szwa-by nie podejdą!

Otrzymuje pluton zorganizowany naprę-dce z rozbitych oddziałów. Zadanie trudne: utrzymać prawe skrzydło. Natychmiast roz-wijam linię, na skrzydłach rkm-y, w środ-ku ckm. Rzadko, o ile tylko pozwala nie-duży teren obrony, rozlokowuję stanowiska



## ŁÓDZKIE XX-LECIE

### GMACH "RUCHU"

MYŚL: Wraz z rozwojem czytelnictwa następuje i roz-wój placówek kolportażu. Niedawno dyrekcja „Ruchu” przeniosła się do nowego, przestronnego gmachu.

DANE: Kubatura — 21 tys. m sześciennych. Pięć kon-dygnacji, duży hall z salą konferencyjną i kawiarnią.

PROJEKTANCI: architektura — mgr inż. Bolesław Kar-daszewski, konstrukcja — inż. L. Płużańska i inż. J. To-maszewski.

KOSZT: Około 11 milionów zł.



# CZY KOWALSKI MUSI SIĘ PROCESOWAĆ?

Dalszy ciąg ze str. 1

go sprawa wcale nie jest taka prosta jak mu się wydawało.

— Widzisz bratku — dyrektor tego przedsiębiorstwa do wszystkich swoich robotników mówił „bratku” — ja ci odszkodowania dać nie mogę. A tak, należy ci się, ale czy to ja wymyśliłem ten przepis? A on mówi wyraźnie: zakład pracy płaci pracownikowi odszkodowanie jeśli wypadek nastąpił z winy zakładu pracy. Czy to moja wina, że tam gdzie ty kopał tkwiła ta cholerna bomba? Moje instrukcje BHP wcale mi nie nakazują odminowywać terenu, na którym stawiam domy. Ty sam przecież wiesz, że ja nie zatrudniam saperów, a tylko takich jak ty murarzy...

— Widzisz bratku, tylko sobie nie myśl że ja ma węża w kieszeni... Ja ci już mówiłem, to nie moja firma, nie moje pieniądze, a dla przedsiębiorstwa te 120.000 złotych, które żądasz to żadna suma. Ale ty się wczuj w moją sytuację: wypłacę odszkodowanie, to powiedzą: dyrektor uważa się za winnego... Widać, że jednak miał obowiązek odminowywać... A wtedy bratku to i prokurator się może do mnie przypiąć. Powiem ci zresztą bratku w sekrecie: ja ci i tak więcej niż 10 tys. wypłacić nie mogę, no za zgodą Zjednoczenia 30 tys., tak mówią powiem znowu przepisy, a twoja ręka, sam wiem, że więcej warta. Ja ci coś powiem: ty bratku idź do sądu, wygrasz sprawę przeciwko przedsiębiorstwu, będę miał podkładkę, to i wypłacimy...

A na pewno wygrasz, bo przecież masz rację. Odszkodowanie ci się należy...

2.

Zanim jednak Kowalski poszedł do sądu, udał się do adwokata. Człowiek z niego był bystry, świetny murarz, ale na zawłóściach prawa nie znał się, czemu oczywiście, dziwić się nie należy. A należało przede wszystkim sprawdzić czy dyrektor mówił prawdę, na zdrowy rozsądek, jak sobie jeszcze raz całą sprawę przemyślał, to nie mogło jednak być tak...

Adwokat w pełni jednak potwierdził słowa dyrektora.

— O niech pan tutaj czyta: społeczny zakład pracy obowiązany jest do wypłacenia odszkodowania tylko wtedy, jeżeli choroba, niezdolność do pracy lub śmierć nastąpiły na skutek nieprzezwyciężenia przez zakład pracy przepisów o ochronie zdrowia i życia pracowników. Tak powiada obowiązujący dekret w tej sprawie z 25 czerwca 1954 roku. A w pańskim wypadku nie ma przecież wyraźnej winy zakładu pracy. Dyrektor ani nie podłożył panu tej bomby, ani o niej wiedział, ani też rzeczywiście nie miał obowiązku odminowywać terenu, musiałby przecież szukać bomb po całym mieście, wszędzie, gdzie się buduje...

Kowalski całą tą uczoną przemowę zrozumiał po swojemu:

— To znaczy, że nie mam racji, że pan mecenas nie podejmie się tej sprawy?

Żle jednak Kowalski zrozumiał adwokata.

— Ależ nie, oczywiście, że pan ma rację i odszkodowanie się należy. Podejmuję się tej sprawy i na pewno ją wygram. Sądy w takich wypadkach zawsze stają po stronie poszkodowanego. Niech mi pan wierzy, wiem co mówię, na sto spraw o odszkodowanie, w 90 wypadkach sąd orzeka winę zakładu pracy. Prowadziłem już sprawę robotnika, który był pijany i uległ wypadkowi, gdzieś tam rękę niepotrzebnie wsadził. I co pan powie, sąd orzekł wspólwinę zakładu pracy bo majster widział, że robotnik był podchmielony, a mimo to dopuścił go do maszyny. Tylko wie pan, taka sprawa ciągnie się długo... Wygrany w pierwszej instancji, założą rewizję do drugiej, a w końcu na pewno trafimy i do Sądu Najwyższego. Ze dwa lata może to potrwać, jeśli nie dłużej.

A czy pan ma czas i, co ważniejsze, pieniądze panie Kowalski?

3.

Władysław Kowalskiego, inwalidę bez jednej ręki, o oszpeconej twarzy spotkałem w Sądzie Powiatowym. Przypadkowo trafiam na jego sprawę cywilną. W małej salce sądowej trwał uczony pojedynek mecenasów: radcy prawnego reprezentującego przedsiębiorstwo budowlane i adwokata stojącego za Władysławem Kowalskiego.

W przerwie Kowalski mi powiedział: wie pan, to dobry człowiek, ten adwokat. Nie wziął ode mnie ani grosza, bo i skąd bym wziął? Tak pracuję już, za stróża nocnego, ale z czego płacić adwokatowi jak człowiek ma żonę i dwoje dzieci. Dawniej też zarabiałem niby tylko 1800 złotych, ale to zawsze panie jakaś fucha wpadła i dorobiło się drugie tyle. W moim fachu o zarobek nie było tak trudno, ale teraz kaleka jestem. To on, niby ten adwokat, powiedział mi: jak wygram sprawę to 25% dla mnie... Tylko niech pan nikomu o tym nie mówi, bo im zdaje się nie wolno tak... Ja już z tego panie nie rozumiem, tak mnie skołował. Niby mi się należy, tak mówią wszyscy, a muszę się włożyć po sądach...

ów) o ubezpieczeniach społecznych, na mocy której pracownik miał prawo domagać się odszkodowania od przedsiębiorstwa za wypadek przy pracy tylko wówczas, jeśli potrafił udowodnić przed sądem, że został poszkodowany na skutek winy kierownika. To znaczy, że wypadek mógł mieć miejsce z winy majstra czy też innego pracownika firmy i wtedy właściciel przedsiębiorstwa nie odpowiadał prawnie za szkody. W tych warunkach rzadko kiedy poszkodowany mógł udowodnić bezpośrednio winę właściciela, zwłaszcza, że ówczesne sądy nie stały po stronie poszkodowanego pracownika. Wprowadzenie ustawy scaleniowej wywołało więc falę strajków, protestów różnych związków zawodowych i organizacji KPP-owskich.

re resorty poleciły ubezpieczać pracowników podległych przedsiębiorstw nie-które nie, jedne ubezpieczają na wysokie sumy, inne znowu na niskie.

W tej sytuacji, gdy robotnik otrzymuje w wypadku poszkodowania rentę z ZUS niewystarczającą, albo też nie otrzymuje jej wcale, a odszkodowania z PZU nie mają charakteru powszechnego istnieją oczywiście i nagląca konieczność uregulowania wypłat odszkodowań przez zakłady pracy.

4.

Reporter chce zgłębić sprawę Władysława Kowalskiego, która może ze względu na fakt wybuchu bomby lotniczej w



Przyznam się, że i ja niewiele rozumiem... Dowiedziałem się już bowiem dwu interesujących informacji. Otóż w 90% zakład pracy odmawia wypłaty odszkodowania pracownikowi, powołując się, że wypadek miał miejsce nie na skutek ich winy. Jednocześnie ze spraw, które trafiają do sądów podobny procent orzeczeń zapada na korzyść pracowników.

Poszkodowani, jeśli tylko nie zrezygnują z walki, co często się przecież zdarza, zwłaszcza w wypadku ludzi mało obciążonych z praktyką wymiaru sprawiedliwości, z reguły wygrywają, niemniej są rozgoryczeni... To bowiem co im słusznie się należy muszą wyprosić, ponosić koszty, tracić czas w nierównej walce z przedsiębiorstwem, które dysponuje całym aparatem urzędniczym dla prowadzenia tego rodzaju spraw. Pamiętajmy też, kto jest tym partnerem przedsiębiorstwa: wdowa, której mąż zginął w wypadku czy też inwalida. A w konsekwencji skarb państwa i tak płaci i to znacznie więcej, bo pokrywa również koszty sądowe i adwokackie.

Podobnie więc jak i Kowalski nie rozumiałem obowiązującej w sprawie odszkodowań praktyki, byłem jednak w o tyle lepszej sytuacji, że miałem możliwość zgłębienia problemu. Zaczęłem od literatury, interesowała mnie bowiem historia dekretu z 25 czerwca 1954 roku o powszechnym zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin, który reguluje również sprawy odszkodowań wypłacanych przez zakłady pracy.

Dekret ten w porównaniu z praktyką przedwojenną stanowił poważny krok naprzód. W 1933 roku bowiem w Polsce zaczęła obowiązywać tak zwana ustawa scaleniowa (poprzednio w poszczególnych częściach Polski panowały przepisy pochodzące z kodeksów cywilnych trzech zabor-

Ustawa scaleniowa została jednak utrzymana. Dopiero powojenny dekret z 1954 r. wprowadził do obowiązującej praktyki poważną zmianę: zakład pracy odpowiada za wypadek jeśli miał on miejsce nie tylko z winy kierownika przedsiębiorstwa, ale jakiegokolwiek odpowiedzialnego pracownika, który nie dopełnił obowiązku przestrzegania przepisów z zakresu BHP. Ze względu na prawnych zachowana została jednak zasada, że przedsiębiorstwu pracownik musi udowodnić winę...

Tymczasem prawo cywilne uznaje oczywiście, winę jako podstawową zasadę odpowiedzialności, z tym jednak zastrzeżeniem, że poza odpowiedzialnością na zasadzie winy, istnieje jeszcze odpowiedzialność na podstawie tzw. ryzyka. W przedsiębiorstwie bowiem wprawianym w ruch przez siły przyrody (parę, gaz, elektryczność) może się wydarzyć wypadek bez niczyjej winy, po prostu na skutek samego ruchu przedsiębiorstwa. Bez popadania w metafizykę w tego rodzaju sprawach istnieje czasami siła wyższa, chociażby bomba, która urwała rękę Władysława Kowalskiemu.

W Polsce w roku 1962 uległo wypadkom przy pracy 161.806 osób, w tej liczbie było 1.278 wypadków śmiertelnych. Oczywiście, większość wypadków przy pracy nie powoduje trwałej czy też nawet częściowej niezdolności do pracy, a jedynie niezdolność do pracy na przeciąg miesiąca, (70%), niemniej w 1963 roku państwo musiało przyznać 69.238 rent inwalidzkich. Na ten cel w roku ubiegłym państwo wydatkowało ok. 40 miliardów złotych, każdy chyba przyzna, że jest to dużo, jeśli weźmiemy pod uwagę możliwości finansowe skarbu narodowego.

Oprócz ZUS robotnik może się jeszcze starać o odszkodowanie z PZU, jeśli zakład pracy ubezpieczył go od nieszczęśliwych wypadków. Z niezrozumiałych jednak względów w państwie o scentralizowanej gospodarce istnieje w tej mierze kolosalna różnorodność przepisów. Niektó-

dwadzieścia lat po wojnie jest niecodzienna, natomiast na sposób dochodzenia roszczeń od zakładu pracy jest, niestety, typowa, studiował nie tylko literaturę. Udałem się również do tak zwanych autorytetów czyli do biura Głównego Inspektora Pracy działającego przy CRZZ. Rozmawiałem tam z p. Albinem Mironczukiem, nie wątpliwie ekspertem od spraw odszkodowań za wypadki przy pracy, autorem „Poradnika prawnego dla technicznych i społecznych inspektorów pracy” oraz poradnika dla rad zakładowych pt. „Ustawodawstwo pracy”.

Pan Albin Mironczuk pokazuje mi szafę w swoim pokoju i mówi: w tej szafie od kilku już lat spoczywa projekt zmiany obowiązujących przepisów w zakresie wypłaty odszkodowań za wypadki przy pracy. CRZZ opowiada się za przyjęciem zasady ryzyka i odmowy wypłaty odszkodowania tylko wówczas, gdy jest niewątpliwa wina pracownika. Proponujemy, by przenieść te sprawy z sądów na teren zakładów pracy, które mogą przecież powołać komisje dla polubownego rozstrzygnięcia roszczeń z tytułu wypadków przy pracy. Sądy nieraz ułatwiają sobie pracę i przyznają poszkodowanym jednorazowe odszkodowanie. My stoimy na stanowisku, że znacznie słuszniejsza byłaby renta, stanowiąca wyrównanie do renty ZUS. W tej chwili zresztą istnieje dżungla przepisów, nie ma też odpowiedniej statystyki i nawet nie można stwierdzić, jakie sumy rocznie państwo wypłaca na podstawie wyroków sądowych w sprawach o odszkodowanie. Wydaje się jednak, że są to sumy znaczne i realizacja naszego projektu wcale nie pociągnęłaby za sobą ryzyka zwiększenia wydatków skarbu państwa.

Pokazuje więc, ja z kolei na szafę i pytam: no dobrze, a co z tym projektem?

— Na razie nic, ale niech pan pisze, może to coś pomoże.

Uczynięm to.

ANDRZEJ BERKOWICZ



# Piotrków



## SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Caly Plac Trybunalski zryty wykopkami archeologicznymi. Z kupy gruzów wylaniają się fundamenty 2 ratuszy: z XVI w. (grube mury — założony przez Stefana Batorego) i XVIII w. (cegła). Mury zaszczepiają się i przenikają tak, że tylko archeolog może się w tym rozeznac.

Porywisty zimny wiatr kurzy piaskiem, a słońce (to wrześnie) grzeje ledwie-ledwie.

Grupa rozdygotanych chłopczków w granatowych mundurkach ogląda wykopaliska i szczerka zębami. Wychowawca (w szarym grubym swetrze) objaśnia przepłatając często wykład donośnymi upomnieniami, aby chłopczki nie rozrabiały.

— Stare miasto malutkie — zacie mury pamiętają jeszcze sierpniowe stołce i można się trochę przy nich ogrzać, ale wiatr i tak goni po wąskich uliczkach i ciągle trzeba się ruszać. Jakis ten dzień rozdygotany i zapowietrzony.

Na rozgrzewkę wstępujemy do „Mozaiki”. I tutaj, nam się zrobiło od razu ciepło — ba! gorąco!!! Bo proszę sobie wyobrazić, Panie Redaktorze: przed pięciu laty, pięciu ludzi straszliwie pożartych ze sobą (na śmierć i życie) postanowilo ozdobić kawiarnię (może pięciu, może ośmiu, a może jeden o pięciu ucieleśnieniach).

Więc każdy stanął w swoim kącie tyłem do reszty kolegów i na złość innym

poczęli wyrywać pikasy. Piecowi nie podarowali — a jeden to nawet sufit przyozdobił.

Więc na jednej ścianie spontaniczne rzuty z perkali, na drugiej chytre spekulacje, na trzeciej lustreczka w skosy, na czwartej — wymyślne kompozycje ze sznurka i maty słomianej, na piątej... — Piąty jest sufit w trzęsienie ziemi.

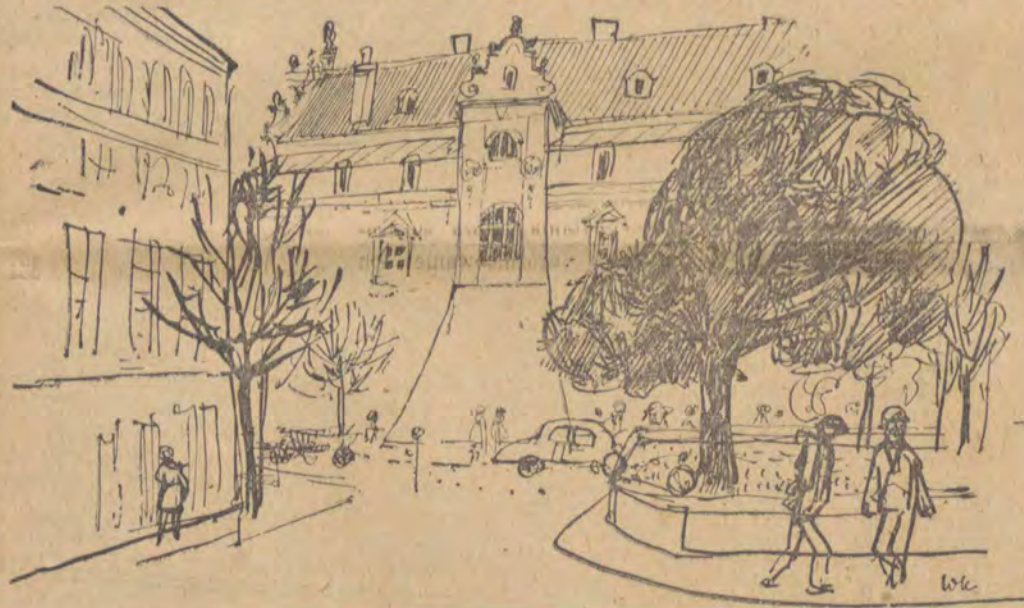
Na podłodze zaś stoją żelazne (obciążone imitacją skóry) szatańskie trójkąty z trzema diabelskimi nogami. Nogi te mają jeszcze wypustki także z żelaza. (Inaczej całe to urządzenie by się przewróciło.)

Na tym się siedzi — a gdy się wstaje, drze pończochy i spodnie. Tak to wszystko frapuje człowieka, że napój, który się pije nie sprawia żadnego wrażenia. Bowiem „Mozaika” działa nie kawą, a wystrojem plastycznym.

Gdy wsiadaliśmy do „Warszawy” — ta początkowo nie chciała w ogóle ruszyć, potem zaczęła się jękać i zacinać, potem dostała czkawki, potem zaczęła warczeć i podskakiwać — potem coś w niej cholernie strzeliło (omal nie spadłszy z siedzenia), ale kierowca (dobry fachowiec), wyprowadził ją „z nerw” i już bez przygód zajechaliśmy do domu.

Kto by przypuszczał, Panie Redaktorze, że „Warszawa” taka wrażliwa! A zdawałoby się zimny, bezduszny motor!

WACŁAW KONDEK



# TEATR W OPERZE

„Chodzi zawsze o wypracowanie totalnego dzieła muzycznego i teatralnego ze wszystkimi konsekwencjami”.

Walter Felsenstein

Na sali jest gwar i ruch, taki, który zawsze towarzyszy ostatnim minutom poprzedzającym pójście kurtyny w górę... Znajomi machają do siebie rękami z rzędów i starając się przekrzywić hałas podziewają się, umawiając na spotkania po spektaklu. Nagle raptownie gaśnie światło i absolutna ciemność ogarnia widownię: w tę czerń, tym intensywniejszą, że poprzedzoną ostrymi blaskami setek lamp, wpadają pierwsze tony muzyki... Teraz i salę ogarnia absolutna cisza i muzyczny wstęp do „Traviaty” nie ma już ani jeden szmer. Kiedy zamierają ostatnie dźwięki instrumentów słychać zleślest powolnie rozsuwanej kurtyny... Napięcie rośnie z każdą nową niespodzianką zaskakującą publiczność...

Powoli, za kolejno rozbliskującymi reflektorami, światło wydobywa z ciemności scenę. Jest cicha i martwa, mimo że zalega ją tłum nieruchomych postaci. Ustawione są one jak na żywym obrazie. Sylwetki pełne dynamiki, twarze pełne napięcia i różnorodnych uczuć... Wzrok widzów przesuwa się powoli od grupy do grupy: tu na środku kilka roztańczo-

nych par, gdzieś w kącie zaciekle rozdygotana grupa młodzieży o twarzach, na których malują się silne namietności, ówdeż wesoła pogaworka przy kielichu i gra w karty... Wzrok zaskoczonych widzów przesuwa się po postaciach, smakuje melarskie układy grup i całości, a kiedy czas, w którym nie się na scenie nie dzieje, zda się wydłużać nad miarę cierpliwości — otwierają się z trzaskiem drzwi w głębi sceny. Wpada uśmiechnięta i pogodna Violetta. Powoli rozgląda się po swoim salonie pełnym gości i jej twarz zaczyna zmieniać się raptownie: stopniowo gaśnie, przechodząc od uśmiechu aż w grymas obrzydzenia... Kiedy patrzy się na nią — wszystko staje się jasne: ma już dosyć tych obcych, hałaśliwych tłumów, tego gwaru, który pustą wesołością zmusza ją do życia w stylu narzuconym przez gości... Wachlarz w jej ręku zaczyna poruszać się coraz gwałtowniej aż w geście pełnym złości nerwowa ręka zamknie go z głośnym trzaskiem. Jakby na sygnał — w tej samej chwili scena ożywa tańcem, gwarem, śpiewem, rozmową, razem z wybuchem głośniejszej muzyki...

## STARE — PO NOWEMU

Wybrałem tylko początek przedstawienia operowego i jego opis musi nam, niestety, wystarczyć za wszystkie smaczki sztuki Felsen-

steina. Nie ma miejsca aby oddać całe bogactwo jego pomysłów, czasami prostych i drobnych, a jednak wywołujących kolosalne wrażenie. Trudno jest zresztą słowami opisywać to co się dzieje na jego scenie operowej, gdzie mariaż teatru właśnie z operą dał efektowne wyniki. Trudno mówić o tych wszystkich fragmentach dzieł znanych i setkami lat i setkami razy oglądanych na scenie, które pod jego ręką wydobywają ze starej sztuki zupełnie nowe wartości. Walter Felsenstein, który zdobył sobie zasłużoną opinię, jednego z najciekawszych reżyserów operowych świata, zadziwia od wielu lat na scenie berlińskiej „Komische Oper” słuchaczy, widzów i krytyków, wychwalających jego realizacje.

Jest zawsze wierny oryginałowi. Rozwiązań nie szuka w przeróbkach. Jest zdania, że to wszystko, co jest zawarte w dziełach wielkiej klasyki operowej nie wymaga przeróbek tylko właściwej realizacji scenicznej. Czasami kiedy ogląda spektakle muzyczne na innych scenach, mówi z przekąsem: „W kodeksie karnym brak paragrafu, który by umożliwił pociągnięcie do odpowiedzialności tych, co w programie umieszczają „Aide”, a przedstawiają zgoła coś innego”.

Walter Felsenstein jednocześnie przystępuje do prac inscenizacyjnych, do aktorskiego i muzycznego przygotowania dzieła, do pracy ze śpiewakami, od których wymaga wyraźnego rysunku psychologicznego graney postaci. Podporządkowuje swojej koncepcji również pracę dyrygenta, wymaga aby strona muzyczna podierała i

zbieżna była z reżyserią całości widowiska. Stary, bo już ponad 60 lat liczący reżyser jest udziałem władzą na swojej scenie, ale dobrany przez niego zespół, zakochany w nim i w pracy z nim, ulega wszystkim żądaniom. Felsenstein zdumiewa swoją energią i żywotnością: pamiętam, jak w czasie mojej poprzedniej wizyty w Berlinie demonstrując w czasie próby scenę gwałtownego pojedynku, spadł z podestu i złamał nogę. Jeszcze tego samego dnia kazał sobie zainstalować parę telefonów w pokoju szpitalnym i stamtąd kierował swoim teatrem. Każdego wieczora siedzi też w swojej łozy i jeżeli zauważy, że cokolwiek w przedstawieniu zaczyna się „rozłazić” i odbiegać od początkowej koncepcji, zawieszając tę operę i przystępuje do nowej serii wytyczonych prób. W tym teatrze pracuje się zresztą, tak, jak w żadnym innym. Ale i efekty są widoczne...

Do „Otella” na przykład odbyło się w sumie różnych prób (światła, kostiumów, aktorskich, chórow, szermierki itd.) ponad 1500. Nic też dziwnego, że przygotowanie każdej premiery trwa długie miesiące i wymaga niesłychanej ofiarności ze strony artystów.

## AKTOR — POTEM ŚPIEWAK

W „Komische Oper” słuchacz nie może liczyć na przeżycie takie, jakie dają La Scala czy Metropolitan. Tutaj nie ma pogoni za wielkimi „primadonnami stulecia” w rodzaju Marii Meneghini Callas czy Renaty Tebaldi. W berlińskiej operze ceni się najbardziej sztukę aktorską a potem dopiero walory

wokalne. I Felsenstein zawsze „sprzeda” wielką divę operową za dobrego śpiewaka, ale i zarazem utalentowanego aktora.

„Jeśli ja reżyseruję — pisze Felsenstein w swojej książce „Das Musiktheater” — muzykę razem ze śpiewakami. Muzyka i śpiew muszą zostać odnośnie ich dramaturgicznej funkcji dokładnie rozpoznane. To jest teatr muzyczny. Zadanie kardynalne polega na tym, aby muzykę i śpiew na scenie uczynić wiarygodnym, przekonującym i niezbędnym ludzkim wyrazem”.

Za tymi słowami kryje się realna sceniczna praktyka, która wprowadza je w czyn. Patrząc na „Traviatę”, „Przygody wojaka Szwejka” Kurka, na pysznie wystawione „Opowieści Hoffmanna” Offenbacha i tyle jeszcze innych przedstawień, nabiera się wielkiego podziwu dla sztuki Felsensteina, który z teatru usadowionego we wschodnim Berlinie, zrobił jedną z najnowocześniejszych placówek operowych świata.

I kiedy patrzyłem przez wiele wieczorów na jego sceniczne realizacje, budziło się tylko jedno pełne goręczy pytanie: dlaczego mając przez międzę tak wspaniałego reżysera, nigdy dotychczas nie zjawili się on w Polsce, aby na naszej scenie pokazać swoją wielką sztukę...? Szkoda: i jeżeli nie możemy sobie pozwolić, z takich czy innych przyczyn, na samego Mistrza, to może zaprosić chociaż kogoś z jego młodych reżyserów, wychowanych w Berlinie, którzy mają również na swoim koncie wiele ciekawych osiągnięć...?

ZDZISŁAW SIERPIŃSKI





# Na tropach Winy

Wina była tak oczywista, że na rozprawę nie wzywano nawet poszkodowanego. Nie wzywano też świadków, tych na okoliczność samego wypadku, ludzi dorosłych, którzy pomogli schwytać przestępcę. Ani dwóch rówieśników Zbyszka, podobno jedynych, z którymi go widywano, i którzy mogliby powiedzieć o nim coś bliższego. Zeznawali tylko rodzice, twierdząc, że nie mieli z synem trudności wychowawczych, poza tym, że się źle uczył. Potwierdzała to pisemna opinia szkoły, do której chłopiec uczęszczał, zanim skierowano go do szkoły specjalnej. Opinia podkreślała słaby rozwój ucznia, trudności jakie sprawiały mu przedmioty ścisłe i częste opuszczanie lekcji; nie oskarżała natomiast o złe zachowanie się, o niegrzeczność w stosunku do nauczycieli, o rozbijactwo, o czyny chuligańskie. Przeciwnie, miał być chłopcem raczej cichym i spokojnym. Także w domu (wg zeznań rodziców) nie dawał powodu

do podejrzenia go o złe skłonności: był posłuszny, wykonywał co mu zlecono, opiekował się młodszym rodzeństwem, a nie wracał pijany, nie sprowadzał kolegów, nie kradł. Rodzice mieli do niego pełne zaufanie, czego najlepszym dowodem może być fakt, że w dniu wypadku rano, przed wyjściem do pracy, wręczyli mu 500 złotych, polecając uregulować na miesiąc jakieś rachunki.

A jednak... w dniu 15 stycznia dokonał zamachu na taksówkarza, uderzając go młotkiem po głowie, w celach rabunkowych. To mu zarzuca akt oskarżenia, do tego też przynajmniej się sam oskarżony.

Nie mogłabym być sędzią Sądu dla Nieletnich! Już sam widok wątłego chłopca, wprowadzanego na salę sądową przez dwóch rosyjskich milicjantów, przyprawia mnie o gwałtowny skurcz serca. Ale jestem pisarką mocno zainteresowaną problemem tzw. trudnej młodzieży, usiłuję wnikać jak najgłębiej w jej psychikę. Szukając przyczyn tak rozpowszechnionego w ostatnich latach chuligaństwa — przesiadałam długie godziny na rozprawach w Sądzie dla Nieletnich.

Sprawa Zbyszka U. z samej zapowiedzi wydała mi się typową, wywodzącą się z tak często spotykanej u chuligańskiej młodzieży chęci zdobycia za wszelką cenę pieniędzy na wódkę i dziewczęta, a więc i za cenę życia innego człowieka. Toteż spodziewałam się urzędów na sali sądowej jednego z tak dobrze nam znanych „typków” sprzed kin, bezczelnego kłamczucha, bez jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności za to, co robi, a już tym bardziej za to, co mówi.

Doznałam całkowitego zaskoczenia. Się dając z boku długiego stołu sędziowskiego miałam tak blisko podsądnego, że nie mogło ujść moim oczom najmniejsze drgnienie jego twarzy. Pierwsze wrażenie, od razu jakieś nie podlegające wątpliwości — że chłopiec jest wstrząśnięty. Ale to nie był strach.

Odpowiedzi, na zgodne z trybem postępowania sądowego pytania protokółantki, udzielał jak gdyby z roztargnieniem. Widać było, że całą uwagę skupia na osobie przewodniczącej kompletu sądownego. Musiał się wewnętrznie przygotować na jakiś natychmiastowy ostry atak z jej strony. Wypowiedziane spokojnym głosem słowa: „A teraz opowiedz nam, jak to było” — zbiły go z tropu. Długą chwilę stał nieruchomo, z lekko pochyloną głową i opuszczonymi bezwładnie rękoma. Ze zdenerwowania zaschnęły mu widocznie wargi, zwilżał je wielokrotnie językiem. Męczył się. Miał jednak dobrą wolę pokonania zupełnej niemocy wyrażenia słowem tego, co się wydarzyło, toteż zdopinguwany najprostszą w świecie zachętą, wypowiedzianą bardzo łagodnie: „No?”, rozpoznał swoją tragiczną opowieść. Ze strzępków nieudolnie formowanych zdań wynurzały się powoli zarysy fatalnego dnia jego kłeski:

— Wyszedłem rano z domu i... chodząc po ulicach. W południe wróciłem, ale do mieszkania nie wszedłem, tylko do piwnicy. Stamtąd wziąłem młotek... Potem znów chodząc... byłem trochę u jednego kolegi... czekałem aż się ściemni... Kiedy się ściemniło poszedłem na Kaliski Dworzec... tam znowu chodząc, a potem wszedłem do taksówki i kazałem się wjechać na ulicę Brukowa...

— Dlaczego właśnie na Brukową?  
— Bo tam jest ciemna ulica i nie ma przechodniów...

— Co dalej?  
— Powiedziałem, żeby zatrzymał się przed jednym numerem... i on się zatrzymał.

— Zatrzymał się. I co wtedy zrobiłeś?  
— Wtedy uderzyłem go w tył głowy...  
— I co było dalej?  
— On się odwrócił i chwycił mnie za rękę... Ja mu się wyrwałem i wyskoczyłem...

— I zacząłeś uciekać.  
— I zacząłem uciekać... ale mnie złapali...

— Kto?  
— Ludzie.  
— Jacy ludzie? Skąd się tak nagle wzięli w pustej ulicy?  
— Wychodzili właśnie z drugiej zmiany...

— Tego nie przewidziałeś.  
— Ja nie wiedziałem, że tam są jakieś zakłady...

— I to oni cię złapali?  
— Oni i szofer. Bo on mnie też goił...

— Na piechotę?  
— Nie, autem.  
— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś?

— Tak.  
— Dlaczegoś to zrobił?  
To było za trudne pytanie, bo odpowiedź „chciałem zdobyć pieniądze” nie rozwiązywała samego zagadnienia. Przyczyna leżała głębiej.

— Na co potrzebowałeś pieniędzy?  
— Chciałem wyjechać do Szczecina.  
— Po co?

— Żeby tam znaleźć pracę.  
— Dlaczego właśnie tam?  
— Chciałem na morzu... najpierw w porcie... a potem żeby na okręt...

— Widziałeś ty chociaż raz morze?  
— Widziałem... zeszłego lata zaciągnąłem się do żniw pod Gdańskiem.

— A czy wiesz, że aby pracować na statku, trzeba mieć ukończoną szkołę? Ile lat jesteś opóźniony?

— Trzy.  
— Czy w szkole specjalnej też miałeś trudności w nauce?

— Nie, tam — nie.  
— Dlaczego więc przestałeś chodzić do niej?

— Śmiali się ze mnie... koledzy... ci z dawniej... że chodzę do wariatów...

Podsądny odpowiada na każde pytanie. Z trudem formułuje swe odpowiedzi. Czini to z jakąś rzetelnością zniechęcającą (mnie przynajmniej) do wiary w to, co mówi. Odnoszę wrażenie, że ma wewnętrzną potrzebę szczerości. Jest opóźniony w rozwoju, ale nie jest debil. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu mówi komuś o sobie. Na pytanie, czy zwierzał się rodzicom lub kolegom ze swego zainteresowania morzem — odpowiada przecząco.

Rodzice. Ludzie jeszcze młodzi, schludnie ubrani, przez cały czas przewodu tkwią nieruchomo na ławie; są bezamiętni, nie zdradzają żadnych uczuć, zapytywani przez sędziego — odpowiadają bezbarwnie, zdawkowo. Po ogłoszeniu wyroku, pytają tylko o koszty, ile będzie wynosić opłata za pobyt ich syna w domu poprawczym. Zarabiają razem 2500 złotych, a mają przecież jeszcze dwoje młodszych dzieci. Są zatoskani tą sprawą przede wszystkim. Chłopiec nie zdaje się być zaskoczony ich stanowiskiem. Zna dobrze sytuację domową. Liczył się z nią w jakiś swoisty sposób. Dał tego dowód, nie przywłaszczając sobie tych 500 złotych, powierzonych mu w dniu 15 stycznia; zapłacił rachunki. Nie wynosił niczego z domu, nie podbił pieniędzy. Wiedział, że się nie przelewa. Sam podobno o nic nie prosił, najwyżej o parę złotych na kino. Czy je dostawał? Czasem dostawał.

— Nie wiem, nie wiem, z czego to wypły-

nęło, ale patrząc na tych rodziców — nabrałam pewności, że szczenił mu serca w tym trudnym okresie, jaki przeżywał. Nie zatroszczyli się o danie mu pomocy, kiedy borykał się z matematyką; o złych postępach w nauce dowiadywali się, gdy zostawał na drugi rok; nie zbadali, czemu rzucił szkołę specjalną... Zrobili tylko jedno: starali się go zatrudnić u prywatnych rzemieślników: początkowo u cieśli, a gdy tam praca okazała się za ciężka — u hydraulika. Dlaczego i tu nie zagrzał miejsca? W tym okresie życia (15 — 16 lat) zazwyczaj chłopcy sami nie wiedzą, czego chcą. Stają się skryci, nieufni. Podsądny musiał przy tym cierpieć na jakieś urazy — unikał towarzystwa, był samotny. Na te żniwa nadmorskie zaciągnął się bez wiedzy rodziców. To była jego pierwsza próba samodzielności. Nie jego pierwszego urzeczko morze! Widocznie marzył o nim później po powrocie do Łodzi.

— Skąd ci przyszedł do głowy taki właśnie sposób zdobycia pieniędzy? — pyta sędzia.

— Czytałem w gazetach, że napadają na taksówkarzy... w kinie też widziałem.

— A nie czytałeś także, jakie wyroki dostają?

— Ja nie chciałem zabić...  
— Tylko co?  
— Ogluszyć.

Obrońca z urzędu zgłasza pytanie:  
— Uderzyłeś tym młotkiem tylko raz, prawda?

— Tak.  
— Czy szofer natychmiast się odwrócił i chwycił cię za rękę?

— Nie.  
— Więc miałeś czas uderzyć po raz drugi?

— Miałem.  
— Dlaczego tego nie zrobiłeś?  
Długa chwila milczenia.

— Dlaczego tego nie zrobiłeś? — powtarza pytanie obrońcy — sędzia.  
— Nie mogłem...

Uwierzyliśmy temu wyznaniu tylko my dwiema; obrońca z urzędu i ja.

Więc obrońca próbuje innego chwytu. by udowodnić, że podsądny nie jest jeszcze stracony dla społeczeństwa.

— A jak to byłoby z wyborem taksówki na Dworcu Kaliskim? Czy podszedł do pierwszej z brzegu?

— Tak...  
— A mówili, że zanim wsiadł do taksówki przechadzałeś się dłuższy czas przed dworcem. Czy tak było?

— Tak.  
— Dlaczego?  
Znowu długie milczenie. I znowu odpowiedź:

— Nie mogłem się zdecydować...  
Obrońca patrzy w oczy przewodniczącej sądu, ale widzi, że i ta odpowiedź nie znajduje wiary, więc pyta dalej:

— Szofer, którego wybrałeś ma 23 lat, i nie jest żadnym cherlakiem. Dlaczego...  
— Ja nie wybierałem...

— Jak to, nie przyszło ci na myśl, że łatwiej będzie sterroryzować człowieka starszego, o słabszej kondycji?

— Nie myślałem o tym.  
— A o czym?

— Jak się zdecydowałem, podszedłem do pierwszego z brzegu...  
Patrzę teraz na ręce niedozległego mordery: drobne, jeszcze dziecięce dłonie, bardzo czerwone, jak gdyby namigle krwią, czy też odmrożone, bezradnie zwiastają wzdłuż za ciasnej marynareczki uczniowskiej. Nie, nie mogłabym być sędzią Sądu dla Nieletnich...



NOWY TOM HARASYMOWICZA \*)

„Podsumowanie zieleńi” jest siódmą książką poetycką Jerzego Harasymowicza. Autor „Cudów” i „Powrotu do kraju łagodności” był w latach 1953 — 57 uważany za gwiazdę poetycką pierwszej wielkości. Los gwiazdy nie jest raczej godny zazdrości, gwiazdy rozbiły się na trzęsienie ziemi, tracąc blask lub spadając. Szczególnie w naszych warunkach. Krytycy, którzy niegdyś umiścili Harasymowicza wśród gwiazd

pierwszej wielkości, po kilku latach zwrócili oczy ku innym gwiazdom lub zmienili zawód. Harasymowicz zawołał nie zmienić. Pisał nadal i pisał coraz lepiej. Nie jest już gwiazdą pierwszej wielkości. Jest po prostu — „Podsumowanie zieleńi” to poświadcza — dobrym poetą. Niegdyś zdawało się, że nie ma antenatów, że wnoszą do polskiej literatury własny, wyjątkowy, niepowtarzalny. Teraz wie my, już, że ma antenatów i to wielu. Jednym z nich jest K. I. Gałczyński. Zrozumiał to autor okładki do „Podsumowania zieleńi”, Andrzej Heidrich, wyrysowując na obwolucie książeczki niewątpliwie za czarowaną dorozką. Gałczyński był poetą potrzebny, Harasymowicz jest poetą potrzebnym. Nie wnoszą do literatury wiele nowego, nie stanowią o przemianach gatunku, nie znajdują się w głównym nurcie rozwoju poezji, nie wnoszą nawet zapewne, kłopoty i dokąd ten nurt się toczy. Ale ma i będzie miał czytelników. Jest poetą potrzebnym, budzącym i zaspokajającym wzniesienia, które budził niegdyś

i zaspokajał Gałczyński. Czy to mało? K. T.

\*) Jerzy Harasymowicz, „Podsumowanie zieleńi”, Czytelnik, W-wa, 1964.

## ZYWIŁ ZWANY RZECZYWISTOŚCIĄ

Dwaj reporterzy, warszawski i krakowski, połączyli siły, w wyniku czego powstał zbiór wcale niejednorodnych utworów. Całość ma odpowiedzieć na dwa pytania: czy ludzie w Polsce są ocalałi i pozabawieni inicyjatywy oraz czy jesteśmy narodem konserwatywnym. Tylko jedno z tych pytań zostało rozwiązane przez nie budzące wątpliwości zaprzeczenie. Z tradycją sprawa okazała się bardziej złożona. Ale niezależnie od konsekwencji obu autorów w przeprowadzeniu postawionych też czytelnik otrzymuje kawałek rzetelnej informacji o tym, co się aktualnie w naszym kraju dzieje. Pozornie zdawać by się mogło, że wszyscy dysponujemy dostatecznie dużą

wiedzą i trud reporterski nie jest trudem odtrywym. Bo codziennie serwis PAP-u, bo komunikaty GUS-u o narodowym planie gospodarczym, bo wreszcie oficjalne przemówienia mężów stanu. Tom reportaży „Nie będzie bału dla weteranów” unocznia nam te gazetowo-oficjalne hasła i przybliża. Podejmuje zresztą sprawy nie dające się uwzględnić w żadnym ekonomicznym rachunku: autentyczne życie ludzi. Dla łodzian najciekawszy będzie niewątpliwie reportaż tytułowy: o seminarium w Krakowie na Brucie. Jest to zresztą tylko odprysk rzeczywistości Retkini, która w latach międzywojennych była terenem dramatycznej walki klasowej. Ale tom przynosi inne, równie interesujące reportaże, jak choćby „Stary”, o dyrektorze uzdrowiska w Dusznikach, dawnym Bad Reinerz. Snuje się przed nami panorama Polski, autentycznej choć niecodziennej. Chociaż nie zawsze wysiłek autorów zostaje nagrodzony

w dostateczny sposób. Ale to już nie wina reporterów. Reporter zdany jest na fakty. A rzeczywistość, cóż, jest żywo-

Stefan Bratkowski i Janusz Roszko: „Nie będzie bału dla weteranów”, Wyd. „Iskry” 1964, str. 175.

## „CIOTKA”

Ernest Bryll (ur. 1935) po wydanym w ub. r. i nagrodzonym „Studium” przestał być debiutem. Ale w drugim tomie prozy eksplouuje doświadczenia, do których najchętniej sięgają debiutanci. Jest to bowiem, jak można się domyślać, opowieść z lat dzieciństwa. Chociaż pierwsze wzruszenia są tylko jedną warstwą książki. Ciotka, to nieco pieszczotliwy przydomek, którym obdarował młodzieńki narrator baczewską dziewczynkę. Stara pani od początku wzbudza sympatię, może dlatego, że stała na przegranej pozycji, gdyż akcja powieści toczy się w pierw-

szych latach naszej rzeczywistości, nieczulej na pochodzenie i pozycję przodków, a może dlatego, że jest w Ciotce jakiś czysto ludzki rys, który nam tę książkową postać uczulowca. Podobnie jak w „Studium”, Bryll w tej powieści niezwykle plastycznie ukazuje problem człowieka obcego, już nie tylko w wymiarach jednego środowiska, w wymiarach czasu. Absurdalne jest posądzenie Ciotki o współudział w zamordowaniu brata, baczewskiego dziecka, który dożył się w Ludowej Armii stopnia sierżanta i był pierwszym we wsi komisarzem reformy rolnej. Podobnie jak absurdalne byłoby żądanie od niej akceptacji rewolucji. Chociaż Ciotka jest poza koteriami politycznymi. I poza pojęciem.

Ernest Bryll: „Ciotka”, Wyd. „Iskry” 1964 r.





Fot. E. Czapiński

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Gdybyś jeleniu w mateczniku siedział, a nie zabłąkał się do Łodzi na Piotrkowska w okolicy placu Reymonta, to by zapewne Ogród Zoologiczny powstał w tym mieście nieco później. A tak coś trzeba było zrobić z pojmanym zwierzęciem. Władze miejskie wydzieliły skrawek parku na Zdrowiu, gdzie jeleni, któremu nadano imię Boruta, mogli przebywać na chwale ojców miasta, którzy niedługo po tym zdarzeniu po stanowili utworzyć Łódzki Ogród Zoologiczny. Wprawdzie w Helenowie, jego właściciel pan Anstadt wcześniej już pokazywał lodzianom za 30, 15 i 50 kopiejek lwy, niedźwiedzie i inne okazy, ale był to ogród prywatny. Miejskie ZOO powstało w 1939 roku, niezależnie od ogrodu pana Anstadta, który istniał do roku 1940.

Zaczęłam reportaż od historii nie tylko dlatego, że obecnie nasze ZOO obchodzi dwudzieste piąte urodziny, również dlatego by powiedzieć, że powstało ono w sposób bardzo nietypowy. To obciążenie z dzieciństwa ciągnie się za nim do dziś. Bo czymże, proszę szanownej wycieczki, jest Ogród Zoologiczny, dziś w roku 1964? Zbiorem zwierząt, które za jedynie trzy złote można oglądać do woli? Zgoda, ale nie tylko... Placówka naukowo-badawcza, z której korzystają Uniwersytet Łódzki, Akademia Medyczna, PAN itd., itp.? Zgoda, ale nie tylko... Miejscem wagarów młodzieży szkolnej? Zgoda, ale... Placówka, na terenie której działa najbardziej skandalicznie prowadzony bar kategorii „S”? Zgoda... ? Ogród Zoologiczny, szanow-

na wycieczko, przede wszystkim jest instytucją państwową, podległą Ministerstwu Gospodarki Komunalnej. No i co z tego wynika? — pytasz się szanowna wycieczko. Przewodnik nie filozofuje. Przewodnik pokazuje i opowiada. Więc dziś nie lamparty i tygrysy, hipopotamy, albo inne papugi będą nas obchodziły. Nie hieny i szkale, ani nawet antylopa gru — tylko ZOO, jako takie, czy sta abstrakcja pośród zieleni. Voilà! Część pierwsza i ostatnia, po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat. W tym miejscu, Drogi Czytelniku, zmieniam nastrój tej opowieści i w pełnej intymności chcę opisać historię np. wybiegu dla lwów. Lwy, jak ludzie. Też się mnożą. W miarę upływu czasu jest ich coraz więcej. Potrzeba więc, nowych pomiesz-

czeń fachowo zwanych wybiegami. Oto po wielu staraniach i przekonywaniach urzędników z Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, którzy doskonale znają się na wszystkim, z wyjątkiem Ogrodów Zoologicznych, bo to wiedza specjalistyczna, Łódzkie ZOO otrzymuje pozwolenie na wybudowanie wybiegu dla lwów. Dyrektor Ogrodu, lub inny odpowiedzialny pracownik, udaje się więc do Miejskiego Biura Projektów, gdzie projektanci mieszkań, sklepów i kin mówią — „Wybieg dla lwów? Kochani panowie, my się na tym nie znamy”. Więc dyrektor idzie do drugiego biura, gdzie projektuje się zakłady przemysłowe. Tam patrzą na niego jeszcze bardziej podejrzliwie i oświadczają, że niestety, „wybieg dla lwów”, to nie nasz resort. Nie opisuję tu wszystkich perypetii, lecz na wyrobionego życiowo Czytelnika, który zdola wyobrazić sobie wszystkie sytuacje, jakie zaszły, aż dyrektor znalazł projektanta. Do niedawna w Polsce był jeden projektant Ogrodów Zoologicznych, ale obecnie wobec zmniejszonych limitów na budownictwo w ogrodach, przeczł się na projektowanie dróg. Założmy, że pan dyrektor ma już pieniądze, ma już zatwierdzoną dokumentację. Teraz zaczyna szukać wykonawcy, czyli historia zaczyna się od nowa. Kto ma budować? Przedsiębiorstwo Budownictwa Mieszkanalnego mówi: — „To nie my. My budujemy mieszkania dla ludzi, nie dla zwierząt”. Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego — też odmawia. Przedsiębiorstwa Remontowo - Budowlane mają zamknięty portfel robót, a poza tym jak budować wybieg dla lwa. Jakże stosować normy? Ile metrów powierzchni mieszkalnej przypada na jednego lwa? Więcej, czy mniej, niż na człowieka. To nie dowcip. Ostatnio władze nadrzędne poprosiły o przesłanie danych o „gęstości zaludnienia”. Być może, już wkrótce „lew twórca”, będzie otrzymywał specjalne pismo od ministra, uprawniające do korzystania z dodatkowej powierzchni mieszkalnej.

Na razie Łódzkiemu ZOO grozi zalew lwów i nawet akcja świadomego macierzyństwa, polegająca na odseparowaniu małżonków, nie może być przeprowadzona, bo brak pomieszczeń. Rosną nam młode lwy, sprzedają ich nie ma gdzie, bo inne nietypowe instytucje też mają ich pod dostatkiem, a cena ich 125-200 dolarów, w porównaniu z innymi zwierzętami, (tygrysy 1000 dolarów, tapir — 3000, niedźwiedź polarny — 1250 dolarów) jest stosunkowo niską. Teraz pozwól Drogi Czytelniku, że zrobię ci mały wy-

kład o małpach. Przyda on się zwłaszcza wszystkim tym, którzy kontrolują naszą nietypową instytucję. Wiadomo, ale tylko fachowcom, że małpy ze wszystkich zwierząt potrzebują najbardziej urozmaiconego pożywienia. Młoda małpa otrzymuje pomarańcze, banany, cukierki, kogel-mogel, orzechy laskowe i włoskie, oprócz jarzyn i mięsa, i nie będzie przesadą, gdy powiem, że jedynym sklepem, w którym można kupować małpom żywność są Delikatesy. Zaburzenia żołądkowe leczy się małpom winem! Coż więc robi typowy kontroler, gdy zobaczy w wydatkach zaksięgowane wino, wypije przez małpy. Idzie do dyrektora i szczerze, po przyjacielsku mówi: „Panie dyrektorze, ja pana rozumiem, ale nie mógł pan to wino zapisać na jakimś innym koncie, np. na koszty reprezentacyjne?”... Takich nieporozumień jest wiele.



Wiadomo, ale tylko fachowcom, że najlepiej małpom podawać lekarstwa w cukierkach. Wtedy jest gwarancja, że małpa zje całe lekarstwo. Więc dla celów leczniczych kupuje się całe kilogramy cukierków, które wypełnia się odpowiednimi lekami. Znowu oszczędny kontroler uważa, że nie trzeba kupować cukierków za państwowe pieniądze, bowiem ludzie zwiedzający ogród kupują je za swoje prywatne złotówki. A sprawa pomarańczy? Podejrzliwy kontroler domaga się specjalnej kontroli przy podawaniu pomarańczy. Co się dzieje z tymi pomarańczami, których małpa nie zje? Czy przypadkiem nie zjada ich pracownik? A w ogóle po co małpom takie drogie owoce. Ludzie jedzą gorsze rzeczy i żyją... Biedny służbista nie wie, że zwierzę hodowane w specyficznych warunkach wymaga specjalnej opieki. Ale o tym trzeba wiedzieć, na tym trzeba się znać. Kiedyś Ogród Zoologiczny uskarżał się na brak „zieleni” dla zwierząt. Zakład Zieleni Miej-

skich przyrzekł pomoc i przysłał transport... liści rabarbaru, które ze względu na wielką ilość szczawianów nie nadają się na paszę. — Można by rzec, proszę wycieczki, że zajmowaliśmy się do tej pory sprawami niekompetencji i kompetencji w ZOO, i gdzie indziej. O zwierzętach coś niecoś szanowni państwo już wiedzą, pora opowiedzieć o ludziach, bo to temat równie pasjonujący. Chcesz pan zrobić jakiś dowcip przy pomocy aparatu zwanego telefonem. Nakreśl pan numer Ogrodu Zoologicznego, pytasz czy ZOO, a potem mówisz — tu słoń. Dzień dobry, albo mówisz — tu tygrysy, zjadłbym coś — Ubaw po pachy! Zwiastuje pierwsze kwiecień, bez przerwy od lat, lodzianie dają dowód swego humoru i przywiązania do instytucji. Łodzianie lubią swe ZOO Przychodzą do niego nie tylko oglądać zwierzęta, ale przychodzą po poradę, gdy kochanemu psiekowi coś się stało, po niedźwiedzie sadio, gdy coś rwie w krzyżu. Raz nawet w dyrekcji ogrodu zjawili się Cyganie, prosząc o sprzedaż kawki. Spytani po co im kawka, odpowiedzieli, że w myśl ich dawnych tradycji, śmiertelnie choremu czło wiekowi trzeba pokazać czar na kawkę, by wszystkie choroby przeszły na ptaka, a człowiek poszedł na tamten świat zdrowy. Cyganie otrzy mali kawkę. Chcieli ją nawet zwrócić, ale „chorej” kawki nie chciał mieć u siebie dyrektor ogrodu. Oto proszę szanownej wycieczki, gibbon. Małpa jak się patrzy, okazała, ale jakaś smutna, rzewna. Gibbonowi bowiem cknę się bez płci pięknej. Więc dyrekcja pertraktuje z innymi nietypowymi instytucjami o dwie małżonki dla gibona. Dwie, bo nasz gibbon chłop na schwał i jedna żona mu nie wystarczy. Ale, niestety, są trudności z żonami dla gibona. Tu trzeba wszystko załatwić oficjalnie. Tu znajomości z magazynierem nie pomogą, no bo nie ma magazyniera ani magazynu. Wprawdzie, powiem to szanownej wycieczce na ucho, najbardziej zagorzali wielbiciele ZOO mówią, że gdyby nasze władze bardziej interesowały się Ogrodem Zoologicznym, to by i o małżonki dla gibona było łatwiej. Ale, niestety, nikt zoologu nie odwiezła, nie przyjeżdża tu żadna delegacja zagraniczna. Tak więc proszę szanownych zebranych problem: „Słoń a sprawa polska” nadal jest aktualny. Co powiedziawszy kłaniam się szczerze szanownej wycieczce, prosząc o uiszczenie należnej kwoty za oprowadzanie po łódzkim zoologu.

ZYGMUNT MACHWITZ

Dzień powszedni filmowego WROCŁAWIA

Oto kręta wazitka uliczka starego Madrytu. Chwilami wydaje się nawet, że z któregoś balkonika można by wyciągnąć rękę na przywitanie do sąsiada mieszkającego naprzeciw. A kamieniczki są śliczne, każda z nich inna. Pełne są ozdób — jakichś wykuszy, rzeźbionych miejsc nad oknami i drzwiami, kutych sztyldów. To tutaj jeszcze do niedawna rozlegał się wesoły gwar kelerskiego tłumy XVIII-wiecznych mieszczan. Dziś cicho jest i pusto. Ekipa „Rekopisu” znalezionej w Saragossie 1) z wielkiej dekoracji w plenerze przeniosła się już do atelier. Lecz wkrótce znów będzie tu rojno. W podanych pewnej „kosmetyce” fragmentach starego ogrodu pojawiają się oddziały napoleońskich żołnierzy. „Popioły” wracają właśnie z Bułgarii, gdzie realizowano sceny wymagające południowego pejzażu (Włochy, Somosierra), i w przerozbionym na Saragossę Madrycie będzie się kręcić szturm tego miasta. Dawny pomysł „zrobienia” tej sekwencji w Warszawie pod Barbarakanem upadł wobec argumentu, że we Wrocławiu będzie i taniej, i efektywniej. — „Popioły” w naszej Wytwórni to jakby rewanż w stosunku do Łodzi. Gdy budowaliśmy dekoracje, Ma-

drytu nastąpił przestój, mieliśmy za mało robotników, i wówczas łódzkie atelier wywabło nas z kłopotu przysyłając dziesięciu pracowników. Przeniosłem się właśnie do gmachu dyrekcji wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Rozmawiam z dyrektorem Gerardem Nowakiem. Za oknami gabinetu charakterystyczne sylwetki kopuł, w których mieszczą się hale zdjęciowe i pracownice. To dawne tereny targowe, w których niegdyś znajdowała się Wystawa Ziemi Odzyskanych. To już 10 lat, bowiem Wytwórnia powstała 1 stycznia 1954 roku. W ten sposób narodziła się właściwie córka Łodzi. Dlaczego? Po prostu łódzkie atelier dostarczyło fachowców i sprzętu. Zresztą początkowo była to tylko filia Wytwórni z naszego miasta. A i potem, gdy niemowlę krępkco stało się już na nogach, poprzez lata korzystało z usług łódzkiej WFF. Długo udziękowano filmy w Łodzi, aż do roku 1963 nie było tu własnego laboratorium i cała obróbka taśmy przebiegała w naszym mieście. Zresztą z okazji Jubileuszu złożyli wrocławianie podziękowanie naszej Wytwórni za długoletnią pomoc. Rozwój młodszego „dziecięcia” pol-

skiego przemysłu filmowego można sobie znakomicie uzmysłowić zestawiając kilka liczb. Oto one — początkowo powstawały tu 2-3 filmy rocznie, dziś jest już ich 6-7, a po przewidzianej modernizacji i rozbudowie będzie się realizować do 12 obrazów. To są plany. A rzeczywistość? Przede wszystkim „Giuseppe w Warszawie”. Jest to bowiem najnowsza wrocławska premiera na naszych ekranach. Szerzej pisać o niej nie ma chyba potrzeby, zbyt wielu bo wiem łodzian znakomicie bawilo się już perypetiami sympatycznego Włocha i popularnej Elżbiety Czyżewskiej w roli jego partnerki, w okupowanej stolicy. Najbliższa przyszłość, to oczywiście filmy oczekujące na premiery. Są nimi „Rachunek sumienia” i „Agnieszka 46”. Pierwszy jest odważnym dramatem podejmującym złożone problemy moralne. Oto ostatnie dni wojny. Roman Marecki — oficer AK — otrzymuje rozkaz rozstrzelania sołtysa z pobliskiej wsi, podejmującego o kontakty z komunistami. Nie wykonuje rozkazu. Zdaje sobie sprawę z konsekwencji swego czynu — nie wraca do oddziału. Wojna się kończy. Wciąż go wir nowego życia. Cieszy się zaufaniem partii. Nagle donos. Wszystko sypie się w gruzy. Aresztowanie, polowicze śledztwo i wyrok dożywotniego więzienia. Rok 1956 zwraca mu wolność. Czy jednak wróci mu wiarę w sens otaczającej go rzeczywistości, wartość idealów, które go kiedyś porwały? Reżyser Julian Dziedziński tak niegdyś mówił o swoim filmie: „Moim bohaterem jest zwykły, uczciwy człowiek, dobry Polak. Sądzę, że w historii Romana wielu ludzi znajdzie chyba siebie; swoje myśli, czyny, a także charakterystyczne błędy...” W głównej roli wystąpił tu pamiętny sanitariusz Wiktor z „Kości naszego świata”, Władysław Głębik. Joanna Szezerbice i popularny w naszym mieście Leon Niemczyk kre-

ują zasadnicze postacie w „Agnieszce 46”. Zgodnie z tytułem akcja rozgrywa się w roku 1946. Mała wieś rybacka na Ziemiach Odzyskanych. Na uczyniela, Agnieszka Żwaniec, młoda, ładna i niedoświadczona dziewczyna boryka się z trudnościami nielatywnej placówki. Jednocześnie snuty jest w tym obrazie watek „nie dobrej miłości” Agnieszki i sołtysa Bałcza. W realizacji znajduje się obecnie jubileuszowy, bo 50 film wrocławskiej Wytwórni. Jest nim właśnie „Rekopis” znalezionej w Saragossie”. Warto przypomnieć, że w nowym obrazie Wojciecha Hasa wystąpi około 100 aktorów, w tym wielu znanych i lubianych, jak na przykład Zb. Cybulski, B. Kubiela, G. Holubek, I. Cembryńska, J. Jędryka, E. Czyżewska, B. Kraftówna, M. Lipińska, B. Tyszkiewicz, P. Raksa, K. Opaliński... Kolejne numery dwuseryjnego „Rekopisu” to 50 i 51. Tymczasem w produkcji znajdują się też filmy 52 i 53. Są nimi „Późne popołudnie” i „Wyspa złoczyńców”. Tytuł pierwsze go ma charakter metaforyczny. Jego tematem bowiem jest starość widziana oczami młodych. Chodzi tu o odwrócenie potocznej poglądu na dylemat „ludzie starsi — młodzież”, o pokazanie, że nie tylko wcześniejsze pokolenie powinno usiłować zrozumieć „zagadkowych” dwudziestolatków, ale że świętym obowiązkiem właśnie młodego człowieka jest liczenie się z problemami i przeżyciami rodziców, ich przyjaciół, jakże często przyjmowanych z lekceważeniem. Reprezentantami starszego pokolenia są tutaj Wanda Czuczka i Franciszek Pieczka, a przedstawicielami ludzi wchodzących w życie są — Magda Zawadzka i Elżbieta Kępińska. Film jest realizowany w Poznaniu, gdzie „został wgnany” na skutek opanowania rodzimego atelier przez liczne rzesze „mieszkańców Madrytu i Saragossy”. Nie na zesłanie a na plenary natomiast wyjechała ekipa filmowa „Wyspy złoczyńców”. Jej reżyser

Stanisław Jędryka podjął się trudnego zadania — robi sensacyjny film dla młodzieży. Główną rolę kreuje doskonale nam wszystkim znany aktor Teatru Nowego, Jan Machulski. Jest on pracownikiem muzeum, którego zmuszają do odegrania roli de tektywa nader dziwne wydarzenia. Ale stop, psuć przyszłej zabawy przez opowiadanie treści filmu sensacyjnego nie należy. Trzeba tylko jeszcze wspomnieć, że partnerką Machulskiego jest Joanna Jędryka i że grają tam A. Fogiel, A. Pawlikowski, R. Pietruski, Z. Zintel. Wreszcie WFF przygotowuje się do jeszcze jednego niełatwego zadania. Będzie nim film Wandy Jakubowskiej „Wielki las”. Pokaże on pracę i codzienne bohaterstwo górników. Fabuła rozgrywa się wokół prób uratowania starej, zalewanej przez wodę kopalni. Wiele trudu z pewnością przysporzą filmowcom zdjęcia pod ziemią, no i budowa trudnych dekoracji kopalnianych — z windami, z blokiem, z inwazją wody itp. W każdym razie ukończenie zdjęć planowane jest jeszcze w tym roku. W obrazie tym ujrzymy znanych nam z „Kości naszego świata” Lecha Skolimowskiego i Andrzeja Kopcińskiego oraz Bolesława Plotnickiego i Joannę Szezerbice. Tak, ciekawa jest rzeczywistość i zamierzenia wrocławskiej WFF a i przeszłość jest również interesująca; wychodząc z atelier staram się przypomnieć sobie ciekawsze tytuły zrealizowanych tu filmów. Przecież to tutaj powstały wszystkie obrazy Wojciecha Hasa od „Pożegnania”, poprzez „Wspólny pokój” po „Jak być kochaną”, tutaj nakrecono słynnego reprezentanta „szkoły polskiej” „Popiół i diament”; a dalej trzeba by chyba postawić „Krzyż Walecznych”, „Ewa chce spać”, „Zimowy zmierzch”, „Zerwany most”, „Skapani w ogniu”...

1) Obszerny reportaż z realizacji „Rekopisu” publikowały „Odgłosy” w nr 39.



# SPRAWY ŁÓDZKICH TEATRÓW

Dalszy ciąg  
ze str. 1

ciem różnie nastąpiła niwelacja ambicji artystycznych, ogólne obniżenie poziomu, co jest dla mnie niewątpliwe.

Prof. MALKOWSKA — To prawda. Nie zgodziłabym się tylko z jednym, że to automatycznie pociąga za sobą obniżenie poziomu wszystkich scen pod względem repertuarowym i aktorskim. Np. Teatr Jaracza nie wykazuje spadku, przeciwnie...

J. KOPROWSKI — Umówiliśmy się, na początku, że jako pracownicy teatrów nie będziemy broili „swoich” teatrów...

Prof. MALKOWSKA — Moje stwierdzenie jest obiektywne...

J. KOPROWSKI — Ale może nie Pani powinna była ten fakt zauważyć, to by samo w dyskusji wypłynęło...

Prof. MALKOWSKA — Sprawa zatracenia politycznego profilu przez Teatr Nowy da się wytłumaczyć tym, że minął burzliwy okres polityczny. Wtedy łatwiej można było znaleźć tego rodzaju repertuar.

Doc. BOLESŁAW LEWICKI — Sprawa politycznego zaangażowania nie jest zjawiskiem permanentnym. Nadchodzi czas jakiejś stabilizacji, teatr polityczny przestaje istnieć i nie pomaga tu żadne nawoływania.

W. KARCZEWSKA — Ależ, nikt się z nas nie upiera, że chodzi właśnie o teatr wyłącznie polityczny, czy wyłącznie klasyczny...

Prof. MALKOWSKA — Na obniżenie strony aktorskiej czy reżyserskiej — oczywiście też muszą się tu zastrzec — nie wszystkich scen — wpływa nie tyle może brak utalentowanych ludzi, ale raczej niesharmonizowane zespoły, na skutek czego trudno jest uzyskać przedstawienie o jednolitym wyrazie.

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ — Idealnym modelem teatru byłby taki model, który zakładałby, że każdy nowy spektakl byłby świętem — dla ludzi teatru i świętem dla widza. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat oświadczyłem tylko dwa takie święta: spektakl „Malatesta” w Teatrze Jaracza i „Czerwonej magii” w Teatrze Nowym. Parę lat temu takich świąt było więcej. Przyczyn tego można upatrywać w fałszywym rozumieniu aktualnych celów teatru, w fałszywym rozumieniu terminu „upowszechnienie”. W tej chwili upowszechnia się go — prawdopodobnie na skutek kryzysu widowni, który teatry przechodzą pod wpływem kina i telewizji — za wszelką cenę, byle przyciągnąć widza, nawet za cenę „Wielkiej Wacka”, wystawionego w tak ambitnym, dawniej, teatrze. A przecież wolno mówić o upowszechnieniu teatru tylko w dobrym znaczeniu tego słowa, socjalistycznym. W gruncie zaś rzeczy nasze tendencje upowszechniające nie wyrażają interesów widza. Model teatrów łódzkich instalują dziś ludzie, którzy interesują się wykonaniem planu i zapewnieniem widowni: kierownicy finansowi, a nie kierownicy artystyczni.

Dr KASZYŃSKI — Zgadza się z pewną generalną ostrą oceną kryzysu. W teatrach łódzkich zaznaczył się nawrót do XIX-wiecznej koncepcji repertuarowej, która zakładała „dla każdego coś miłego” czy coś pożytecznego. Poza tym istnieje u nas chyba jakiejś przesądzenie, że publiczność jest niedojrzała, oczekuje jakiejś doraźnej rozrywki i stąd też nie mamy nawet prób specyfikacji repertuarowej, nie ma np. prób otwarcia choćby małej scenki eksperymentalnej, poetyckiej. Oczekiwaliśmy, że Mała Scena, stworzona przecież w zasadzie na to, stworzy teatr poetycki czy nowatorski. Okazuje się, że też nie. Zamiast tego na tej scenie idą sztuczki, które jak np. „Całe życie” Hartoga powinny pójść w teatrzyku rozrywkowym „7.15”. Nie

mówię już o przykładzie „Wielkiej Wacka” (na dużej, reprezentacyjnej scenie Teatru Nowego). Dla nas, pielęgnujących sympatię dla tego teatru było zaskoczenie, a krzywdą dla widza.

Doc. LEWICKI — Podpisuję się pod tym co mówili moi poprzednicy. Z repertuarem jest oczywiście źle. Teatr Jaracza, oczywiście, wybił się na czoło, ale inne? Dawniej np. dyr. Sykała wystawił kilka bardzo ciekawych, o wiele ambitniejszych, niż dziś to robi, pozycji nie tylko dobrze jest także z dwiema scenami Nowego, a Teatr 7.15 ciągle nie wie czym ma być?

Dr KASZYŃSKI — Miarą upadku ambicji repertuarowych może być m. in. zapowiedź wystawienia przez „Teatr 7.15” „Damy od Makyma”. Dla każdego, kto zna odrobine historii teatru, sztuka ta jest synonimem potężnej „chwały”.

Doc. LEWICKI — A przecież Łódź nawet w Polsce międzywojennej odegrała w swoim czasie bardzo ciekawą rolę. Tu były ośrodki, które zwycięsko skrzyżowały swoją szpadę z teatrami

Warszawy i tak może pojechać na spektakl do Warszawy i tego samego wieczora wrócić... Robotnik zaś...?

J. KOPROWSKI — Nie, to nieprawda, że inteligent ma wygórowane potrzeby artystyczne. Nastąpiła niebezpieczna niwelacja gustów, to jest zjawisko socjologiczne. Kryzys leży także po stronie widza, który się zmienia; miejmy nadzieję, że ten kryzys jest zjawiskiem przejściowym. Ale w tej chwili sytuacja jest ciężka, bo w dodatku widz jest atakowany przez dziesiątki imprez o charakterze masowym, które mu bardziej odpowiadają.

Prof. MALKOWSKA — Tak, w ośrodkach fabrycznych nasi kolporterzy teatralni sprzedają najwięcej biletów personelowi administracyjnemu, urzędnikom, a nie bardzo umieją dotrzeć do samego robotnika, zachęcić go. Zresztą to nie ich rola, oni są zainteresowani stroną handlową, a nie upowszechnieniem kultury.

Doc. LEWICKI — Ano właśnie, kryzys widowni to jest sprawa nie tylko niewyrobionego gustu, to także

nie zrobić. Rezultatem takiego postawienia sprawy, że tego czy tamtego nie da się zrobić, jest stały odpływ ludzi z Łodzi.

J. M. RYMKIEWICZ — Z kolei tak ciekawy, młody reżyser jak Minc, też już zaczyna reżyserować w Warszawie.

Prof. MALKOWSKA — Ja tu przytoczę słowa Zeromskiego; z samej maki chleba się nie robi, potrzebne są drożdże, z samych drożdży też nic nie będzie, trzeba więcej fermentu, ale te fermenty muszą mieć możliwość do fermentowania.

Mgr RYSZARD STEFAN-CZYK — Przepraszając za spóźnienie, spowodowane nagłą pilną konferencją, co mi nie pozwoliło wysłuchać dyskusji od początku — chciałbym swoją wypowiedź zacząć od pytania trzeciego. „Czy teatry ujednoliciły swoje oblicza itd”. Kiedy Teatr Nowy miał być teatrem ideowo-politycznym, Teatr Jaracza o nachyleniu klasycznym — życie pokazało, że schemat był nie do przyjęcia. Gdyby w Łodzi było kilkanaście teatrów wówczas można byłoby różnicować np. koncepcja teatru o szeroko rozbudowanej funkcji aktora lub zespołu. Potwierdza moje przekonanie istnienie takich teatrów jak Brechta, Meyerholda, Wandurskiego, Villara czy też Dejmka. Oblicze teatru jest odbiciem oblicza kierownictwa artystycznego i dotyczy przede wszystkim realizacji repertuaru, wyraża się najogólniej biorąc w stylu wystawianych widowisk.

W. KARCZEWSKA — Nie zgadzam się, nie można mówić o tzw. profilu teatru, biorąc pod uwagę tylko realizację dzieł teatralnych. Ważne jest nie tylko jak się interpretuje i inscenizuje repertuar, ale też co się gra. Więc także i repertuar. I mając te dwie rzeczy na względzie, zgodziliśmy się tu wszyscy, że jedynymi w całej pełni wartościowymi pozycjami, to znaczy i jako utworów literackich i jako teatralna były: „Czerwona magia” w reż. Minca i „Malatesta” w reż. Broniewskiego. A co do reszty?.

Ważny dla przykładu repertuar Teatru Nowego: cztery pozycje, które z powodzeniem mogły być grane w Teatrze 7.15: „Wielki i Wacek”, „Garść piasku”, kryminał „Marie Octobre” (sam, jako oddzielna pozycja mógłby być grany, ale w towarzystwie wielu słabych sztuk nabiera innej wymowy) i „Całe życie”. Owszem, były ciekawsze czy bardziej wartościowe pozycje np.: „Księżniczka Turandot”. Ale tu znowu mieliśmy niewypał reżysersko-inscenizacyjny...

Mgr STEFAN-CZYK — Mam wrażenie, że replika Pani redaktor Karczewskiej wynika z pewnego niezrozumienia mojej wypowiedzi. Widocznie niezbyt jasno przedstawiłem swój pogąd. Zgadza się z Pani stanowiskiem, że „ważne jest nie tylko jak się interpretuje i inscenizuje, ale też co się gra”. Moja wypowiedź odnosiła się do tej części trzeciego pytania, która sugerowała wyprofilowanie teatrów poprzez zróżnicowanie ich tzw. „ambicji repertuarowych”. Uważam to za niemożliwe. Aby uniknąć jednak nieporozumień, wyłączmy z naszej dyskusji pojęcie profilu teatru i mówmy raczej o ambicjach repertuarowych i reżysersko-inscenizacyjnych.

Pragnę jeszcze dodać, że nie tylko „Księżniczka Turandot”, będąc wartościową pozycją, była niewypałem reżysersko-inscenizacyjnym lecz również moim zdaniem podobnie przedstawia się sprawa z „Zamiecią”.

Dr KASZYŃSKI — I z „Marią Stuart” także.

J. KOPROWSKI — Tak, ale ten sam repertuar przy innej realizacji byłby o wiele lepszy, tu chodzi o ludzi, o wykonanie...

W. KARCZEWSKA — Do tego właśnie zmierzam — że w większości wypadków nie dopisały w minionym sezonie ambicje repertuarowe jak i ambicje reżysersko-inscenizacyjne, poza klubowymi wyjątkami. Do Teatru Powszechnego też miałbym parę pretensji. Ale nie zajmujemy się oceną poszczególnych scen, lecz ogólnym obrazem działalności teatrów. Weźmy np. Rok Szekspirowski...

Dr KASZYŃSKI — No właśnie!

W. KARCZEWSKA — Nasze cztery sceny (w tym dwie — Nowego) dają łącznie 2 spektakle. I niby trudno mieć pretensje do Teatru Powszechnego też miałbym właśnie „Romeo i Julię”. Leży to w jego linii repertuarowej i możliwościach obsadowych, ale spodziewaliśmy się (obiecawano nam), że Rok Szekspirowski nasze teatry uczęszcza specjalnie pieczołowitym doborem repertuaru, że zobaczymy nareszcie jeden z wielkich dramatów lub tragedii Szekspira.

Dalej: pozycje współczesne polskie. Zagraliśmy „Golema” Nienackiego — to i dobrze, należy popierać autorów miejscowych, mają prawo do miejscowych scen. Ale jak wygląda zestaw wszystkich trzech premier, łącznie z nieporozumieniem jakim są Wawrzyniaka „Pielegniarce” i sztuka o nader nielicznych walorach myślowych, mówiąc subtelnie —

jaka jest „Garść piasku”? Nie widzieliśmy w tym sezonie nic z Mrozka (a w ogóle widzieliśmy parę lat temu tylko „Policjantów”), nie sięgnęliśmy po ciekawych młodych jak Chojniskiego z jego „Tlenem”...

J. M. RYMKIEWICZ — A choćby Brószkiewicz, czy Grochowiaka.

J. KOPROWSKI — Byłem za wystawieniem „Partity”. W. KARCZEWSKA — Poza tym Łódź nie widziała do tej pory dosłownie nie z europejskiego teatru awangardowego, dawno ogranego przez całą Polskę.

Dr KASZYŃSKI — A z klasyki polskiej — wystawiono w tym sezonie i to niedobrze „Marię Stuart” i Bogusławskiego bodaj...

W. KARCZEWSKA — I wreszcie sprawa różnicowania profilu teatrów, które by miały zaważyć tak ujemnie na obliczu artystycznym teatru. Kto ma modelować profil teatru? Ich kierownictwa. Ale poza tym są one w jakiś zasadniczy sposób modelowane są przede wszystkim nominacje kierowników o wiadomościach na ogół takich a nie innych zainteresowaniach artystycznych. Wreszcie jeszcze jedna sprawa. Zarysowały się tu sprzeczne poglądy: — inteligent nie chodzi do teatru, bo teatr jest zły, robotnik — bo woli operetkę. No to kto chodzi? A proszę tylko spojrzeć w cyfry, obrazując ilość przedstawień: znakomicie zrobione i wartościowe literacko sztuki miały: „Malatesta” — 40 spektakli, „Czerwona magia” — 50, Słabo zrobiony Słowacki — 80 spektakli. Czy to tak mało? Cóż więc jest z tą ucieczką widza od dobrego teatru i jego złym gustem, że trzeba się „ratować” sztuczkami w rodzaju „Wielki i Wacek”? Czy sztuka musi mieć 120 spektakli jak — w ciągu zresztą dwu lat — „Całe życie”?

Mgr STEFAN-CZYK — Nie, nie musi.

W. KARCZEWSKA — A liczbę widzów? Pytał o to, zda je się, pan Koprowski. Prowadzimy w „Odgłosach” stałą rubrykę „Spektakle tygodnia”, z której wynika, że nieraz spektakle czys. o rozrywkowe, obliczone za sto procent frekwencji, wykazują frekwencję zaledwie w 60%. Nie jest więc z tą publicznością tak źle. I z tego wszystkiego chciałoby się na przyszłość wyciągnąć wnioski. Tyle podsumowania.

Mgr STEFAN-CZYK — Repertuar ubiegłego sezonu był rzeczywiście mało ambitny. Nie oceniam tutaj poszczególnych teatrów, ale repertuar całościowo.

W. KARCZEWSKA — O to właśnie nam chodziło.

Mgr STEFAN-CZYK — Tak twierdząc, pragnę jednak podkreślić, że mieliśmy w ubiegłym sezonie kilka sztuk bardzo interesujących, przykładowo można tu wymienić „Czerwona magia”, „Malatestę”, „Kataki”, jednak niestety, jedna jakkolwiek nie robi wrażeń. Mówiąc jednak o zeszlaczonym repertuarze trzeba zaznaczyć z całą mocą, że pod koniec tego sezonu zarysowało się bardzo ciekawe zjawisko — udział teatrów w otchodach XX-lecia Polski Ludowej. Jak w żadnym miesiącu, Łódźkie sceny wystawiły na Jubileusz Polski Ludowej, specjalnie przygotowane spektakle: Teatr Jaracza — „Niepokonanych”, Teatr Powszechny — widowisko „Piosenka prawdę ci powie”, Operetka — „Ulanów księcia Józefa”, Opera — „Legendę Bałtyku”.

(Podaje szereg cyfr, z których wynika, że frekwencja w łódzkich teatrach jest dobra, wznosząca, a największa dopłaty do biletu widza — ma teatr rozrywkowy — „7.15”).

Mogę również zapowiedzieć, że sezon przyszły zapowiada się repertuarowo znacznie ambitniej i Łódź będzie mogła zobaczyć na swoich scenach wiele ciekawych spektakli.

W. KARCZEWSKA — Miejmy zatem nadzieję, że bieżący sezon, będzie o wiele ciekawszy. Ku radości wszystkich. Dziękujemy Państwu za udział w dyskusji.



Fot. E. Hartwig

Warszawy. Myślę o teatrze Zwirowicza i teatrze Schillera w Łodzi.

Dr KASZYŃSKI — O to właśnie chodzi! Brak jest u nas jakiejś indywidualności twórczej, kierowniczej czy organizującej życie teatralne jak Schiller, Dejmek. Dopóki takiego twórcy nie będzie, teatry będą żeglowały raz ku brzegom kasy, raz ku jakimś innym brzegom.

Doc. LEWICKI — Ale nie tylko o to chodzi, że w tej chwili nie mamy Schillerów i Dejmków, nie o chwilowe niepowodzenia — o kryzys widowni, który się u nas chce przezwyciężyć, ścigając widza złym repertuarem, trzeba mówić w głębszym znaczeniu. To są zagadnienia nie tylko łódzkie, nie tylko polskie, ale i światowe. Wielką konkurencją jest telewizja...

Mając do wyboru zły repertuarowo teatr bez szczególnych wybitnych osiągnięć inscenizacyjnych — reżyserskich widz dzisiejszy zwraca się do teatru radiowego i telewizyjnego, który mu daje sposobność słyszenia czy oglądania ciekawych aktorów i prac reżyserów, zgrupowanych w Warszawie. Mówię o odwrocie łódzkiej inteligencji od teatru, która w ostatecznym razie ze względu na bliskość

sprawy polityki kulturalnej, która powinna zmierzać do podnoszenia poziomu potrzeb kulturalnych, wyrabiania zamówienia do dobrego teatru, nie teatru jakiegokolwiek.

Prof. MALKOWSKA — Analiza socjologiczna widowni i długofalowe badania percepcji mogłyby się stać pomocą dla teatru. Przy dzisiejszym rozwarstwieniu widowni nie może być teatru, który zaspokaja upodobania wszystkich.

Doc. LEWICKI — „I tu apel pod adresem kierownika Wydziału Kultury: mamy przecież w Łodzi trzy działające katedry socjologiczne, niechże one się zajmą tą sprawą. I następnego zagadnienie: w Łodzi działają szkoły kształcące pracowników filmu, telewizji i teatru. Łódź powinna sobie pozwolić na jakiejś próbie skorzystania z ich obecności. Kraków czy Wyrbuzze współpracują np. z reż. Wajdą. Może by to dało ciekawe rezultaty, ci ludzie, to chętnie robią.

Prof. MALKOWSKA — Tak, my ciągle balansujemy między dwoma zapatrywaniami: czy Łódź jest ogromnym miastem, które powinno mieć własny ośrodek kulturalny, twórczy, naukowy, czy jest tylko przedmieściem Warszawy, w którym się nie da

wać ich oblicza. Jak wiadomo wspólną cechą repertuaru tych teatrów winna być ideowość, realizacja tych wszystkich zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Polsce Ludowej. Spróbujmy jednak założyć, że sprowifowanie teatrów łódzkich jest konieczne. Kto ma ten profil ustalić, kto ma to założenie wcielić w życie? Wydział Kultury? Jesteśmy zdania, że narzucenie pewnego schematu poszczególnym teatrom jest bardzo niebezpieczne. W dziedzinie sztuki stosowanie norm i reguł ujednoliconych, a takim ujednoliceniem byłby wszak że ramy określające repertuar poszczególnych scen, grozi zawsze schematyzmem i doktrynerstwem, dlatego sądzę, że po prostu tego typu profilowanie jest zgoda niemożliwe. Niemniej zakładam możliwość istnienia szeregu scen o różnym wyrazie artystycznym. Mądre i dojrzałe kierownictwo artystyczne musi posiadać swój program, będący wyrazem pewnej niezależnej manifestacji artystycznej i myślowej. Może się to wyrażać np. w przeszerzeniu punktu ciężkości każdego przedstawienia z jednostki jej losu i charakteru indywidualnego na problematykę ogólną, innych twórców może intere-

wał ich oblicza. Jak wiadomo wspólną cechą repertuaru tych teatrów winna być ideowość, realizacja tych wszystkich zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Polsce Ludowej. Spróbujmy jednak założyć, że sprowifowanie teatrów łódzkich jest konieczne. Kto ma ten profil ustalić, kto ma to założenie wcielić w życie? Wydział Kultury? Jesteśmy zdania, że narzucenie pewnego schematu poszczególnym teatrom jest bardzo niebezpieczne. W dziedzinie sztuki stosowanie norm i reguł ujednoliconych, a takim ujednoliceniem byłby wszak że ramy określające repertuar poszczególnych scen, grozi zawsze schematyzmem i doktrynerstwem, dlatego sądzę, że po prostu tego typu profilowanie jest zgoda niemożliwe. Niemniej zakładam możliwość istnienia szeregu scen o różnym wyrazie artystycznym. Mądre i dojrzałe kierownictwo artystyczne musi posiadać swój program, będący wyrazem pewnej niezależnej manifestacji artystycznej i myślowej. Może się to wyrażać np. w przeszerzeniu punktu ciężkości każdego przedstawienia z jednostki jej losu i charakteru indywidualnego na problematykę ogólną, innych twórców może intere-

wał ich oblicza. Jak wiadomo wspólną cechą repertuaru tych teatrów winna być ideowość, realizacja tych wszystkich zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Polsce Ludowej. Spróbujmy jednak założyć, że sprowifowanie teatrów łódzkich jest konieczne. Kto ma ten profil ustalić, kto ma to założenie wcielić w życie? Wydział Kultury? Jesteśmy zdania, że narzucenie pewnego schematu poszczególnym teatrom jest bardzo niebezpieczne. W dziedzinie sztuki stosowanie norm i reguł ujednoliconych, a takim ujednoliceniem byłby wszak że ramy określające repertuar poszczególnych scen, grozi zawsze schematyzmem i doktrynerstwem, dlatego sądzę, że po prostu tego typu profilowanie jest zgoda niemożliwe. Niemniej zakładam możliwość istnienia szeregu scen o różnym wyrazie artystycznym. Mądre i dojrzałe kierownictwo artystyczne musi posiadać swój program, będący wyrazem pewnej niezależnej manifestacji artystycznej i myślowej. Może się to wyrażać np. w przeszerzeniu punktu ciężkości każdego przedstawienia z jednostki jej losu i charakteru indywidualnego na problematykę ogólną, innych twórców może intere-

wał ich oblicza. Jak wiadomo wspólną cechą repertuaru tych teatrów winna być ideowość, realizacja tych wszystkich zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Polsce Ludowej. Spróbujmy jednak założyć, że sprowifowanie teatrów łódzkich jest konieczne. Kto ma ten profil ustalić, kto ma to założenie wcielić w życie? Wydział Kultury? Jesteśmy zdania, że narzucenie pewnego schematu poszczególnym teatrom jest bardzo niebezpieczne. W dziedzinie sztuki stosowanie norm i reguł ujednoliconych, a takim ujednoliceniem byłby wszak że ramy określające repertuar poszczególnych scen, grozi zawsze schematyzmem i doktrynerstwem, dlatego sądzę, że po prostu tego typu profilowanie jest zgoda niemożliwe. Niemniej zakładam możliwość istnienia szeregu scen o różnym wyrazie artystycznym. Mądre i dojrzałe kierownictwo artystyczne musi posiadać swój program, będący wyrazem pewnej niezależnej manifestacji artystycznej i myślowej. Może się to wyrażać np. w przeszerzeniu punktu ciężkości każdego przedstawienia z jednostki jej losu i charakteru indywidualnego na problematykę ogólną, innych twórców może intere-

wał ich oblicza. Jak wiadomo wspólną cechą repertuaru tych teatrów winna być ideowość, realizacja tych wszystkich zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Polsce Ludowej. Spróbujmy jednak założyć, że sprowifowanie teatrów łódzkich jest konieczne. Kto ma ten profil ustalić, kto ma to założenie wcielić w życie? Wydział Kultury? Jesteśmy zdania, że narzucenie pewnego schematu poszczególnym teatrom jest bardzo niebezpieczne. W dziedzinie sztuki stosowanie norm i reguł ujednoliconych, a takim ujednoliceniem byłby wszak że ramy określające repertuar poszczególnych scen, grozi zawsze schematyzmem i doktrynerstwem, dlatego sądzę, że po prostu tego typu profilowanie jest zgoda niemożliwe. Niemniej zakładam możliwość istnienia szeregu scen o różnym wyrazie artystycznym. Mądre i dojrzałe kierownictwo artystyczne musi posiadać swój program, będący wyrazem pewnej niezależnej manifestacji artystycznej i myślowej. Może się to wyrażać np. w przeszerzeniu punktu ciężkości każdego przedstawienia z jednostki jej losu i charakteru indywidualnego na problematykę ogólną, innych twórców może intere-

wał ich oblicza. Jak wiadomo wspólną cechą repertuaru tych teatrów winna być ideowość, realizacja tych wszystkich zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Polsce Ludowej. Spróbujmy jednak założyć, że sprowifowanie teatrów łódzkich jest konieczne. Kto ma ten profil ustalić, kto ma to założenie wcielić w życie? Wydział Kultury? Jesteśmy zdania, że narzucenie pewnego schematu poszczególnym teatrom jest bardzo niebezpieczne. W dziedzinie sztuki stosowanie norm i reguł ujednoliconych, a takim ujednoliceniem byłby wszak że ramy określające repertuar poszczególnych scen, grozi zawsze schematyzmem i doktrynerstwem, dlatego sądzę, że po prostu tego typu profilowanie jest zgoda niemożliwe. Niemniej zakładam możliwość istnienia szeregu scen o różnym wyrazie artystycznym. Mądre i dojrzałe kierownictwo artystyczne musi posiadać swój program, będący wyrazem pewnej niezależnej manifestacji artystycznej i myślowej. Może się to wyrażać np. w przeszerzeniu punktu ciężkości każdego przedstawienia z jednostki jej losu i charakteru indywidualnego na problematykę ogólną, innych twórców może intere-

wał ich oblicza. Jak wiadomo wspólną cechą repertuaru tych teatrów winna być ideowość, realizacja tych wszystkich zadań, jakie ma do spełnienia teatr w Polsce Ludowej. Spróbujmy jednak założyć, że sprowifowanie teatrów łódzkich jest konieczne. Kto ma ten profil ustalić, kto ma to założenie wcielić w życie? Wydział Kultury? Jesteśmy zdania, że narzucenie pewnego schematu poszczególnym teatrom jest bardzo niebezpieczne. W dziedzinie sztuki stosowanie norm i reguł ujednoliconych, a takim ujednoliceniem byłby wszak że ramy określające repertuar poszczególnych scen, grozi zawsze schematyzmem i doktrynerstwem, dlatego sądzę, że po prostu tego typu profilowanie jest zgoda niemożliwe. Niemniej zakładam możliwość istnienia szeregu scen o różnym wyrazie artystycznym. Mądre i dojrzałe kierownictwo artystyczne musi posiadać swój program, będący wyrazem pewnej niezależnej manifestacji artystycznej i myślowej. Może się to wyrażać np. w przeszerzeniu punktu ciężkości każdego przedstawienia z jednostki jej losu i charakteru indywidualnego na problematykę ogólną, innych twórców może intere-



Wtorkowe audycje z niecierpliwością oczekiwane przez miłośników głosu pani (Zofia Kucówna) Kaliny Jędrusk i tych nieszczęśliwców, którzy powieści W. Macha znikąd zdobyć nie mogli, zapewne już się kończą.

Napięcie, rozbudzone pierwszymi fragmentami, zamieni się w satysfakcję, jaką daje „dobra proza”, nadzieja zaś, że „książka — rozmowa” spełni autorskie zamierzenia, stanie się pewnością. „Książka współczesna w temacie, przystępna w formie, popularna, czytelna” — spełniająca zatem wszelkie postulaty stawiane przez tzw. szerokie rzesze odbiorców — i do tego jeszcze niebałna — to utwór, za sprawą którego pojęcie „społecznego zamowienia” zyskuje właściwą wartość. Mach się przekornie (a może i trochę prowokacyjnie?) do owego zamowienia społecznego przyznał. Napisał dobrą powieść, rzecz będącą niezłym pendentem do toczącej się obecnie (vide „Życie Literackie”) dyskusji nad wzorcami literatury polskiej.

Neużeni nieufności wobec zamówień gotowiśmy jednak zapytać: „Jak mu się to udało?”

I. Baśń współczesna?

Baśń — to jedyny gatunek dydaktyczny, na który można się jeszcze zgodzić. Kontrastowość dobra i zła, jedyną czność postaw moralnych, perypetie niewinności pokrzywdzonej a w końcu triumfującej — cieszą przez swą naiwność i dodają ufnosci. W baśni doskonale wyważono wiedzę o świecie z normalnym ludzkiem „zapotrzebowaniem na sprawiedliwość”. Pragniemy szczęśliwych rozwiązań, ale i każdą szczęśliwą historię chcemy między baśń kładziemy. Mogłoby i tak być z historią o sympatycznej, upartej nauczycielce — Agnieszce córce „Kolumba”.

Młoda nauczycielka. W przywrotnym zeszyciku, gdzie notuje plusy i minusy swego życia mogłaby siebie bez reszty na plus zapisać. Naisowna, inteligentna, ładna — bohater pozytywny, na którego długo czekała literatura polska.

Znajduje się w Chrobrychkach z własnej woli — nie za karę. W Chrobrychkach nie ma szkoły, „wypożyczają się” dzieci (to dla inspekcji oświatowej) za smogon, bimber ów produkuje się w (dla ironii tak nazwanym) Klubie, topią tu ludzi i „rzucają lassem, Rządzi zaś wszechwładny Zenon Balcz — „kawaler orderu i do wzięcia”. To będzie owo zło ucieleśnione, owa czerń przydająca przez kontrast, światła i tak świetlanej postaci naszej bohaterki.

A jednak nie baśń, nie bałna opowieść o dobrej dziewczynie i złym mężczyźnie — zarażonym wojną despicie. Nie potrafimy bowiem rozdzielić naszej porcji sympatii

i nienawiści między te postaci bez wahań. Nie bardzo wiemy w końcu, kto tu jest przegrany. Weryfikujemy baśńowe kolory — zaczyna się rozmowa o życiu.

II. Kto tu jest Judymem?

Pokusa, żeby Agnieszkę pomieścić w czułej galerii „społeczników” jest wielka. Pokusa to niebezpieczna, bo na sympatycznej postaci bohaterki stawiająca (niezamierzenie) pieczęć nudy, historyczno-literackiej starożytności, nierozstrzygniętych dotąd pytań: „Czy Judym miał prawo porzucić Joasię itd. itd.?” Pokusa, której warto ulec, bowiem prowokująca do odgrze

Pochwała małej ROZPACZY

bania sporu między „romantykami” a „realistami” (to młodzież sama tak siebie podzieliła), ewokująca problem społecznego zaangażowania, małych i wielkich ideów życiowych. Z tej niełatwej sytuacji Mach znajduje zaskakujące wyjście. Owszem, jest Judym. Ale nie Judym to w spódnicy — bynajmniej nie Agnieszka. Dla niej pozostała — rola porzuczonej Joasi. Rangę bohatera Zeromyńskiego zdołał bywa niepospodzianie nasz schwarcharakter — Zenon Balcz. To on podzielił z Judymem umiłowanie ideałów niepowodzonych, „odśrodkowych” (jakby powiedział Irzykowski) zwracających się w końcu przeciwko ich wznawcy. „Bo wyobraź sobie Iza — monologuje Agnieszka — że ktoś żąda od siebie samego i od innych absolutnej doskonałości, że się tego, wbrew rozumowi i dczw, adzeniu spodziewa. To szaleństwo, takie czekanie na cud, takie marzenie o doskonałości, dla której już nawet prawo i sprawiedliwość byłoby nieznane, bo niepotrzebne. Więc gdy ideal się nie sprawdza, bo się sprawdzić nie może, ten ktoś szalony przetrzuca się w skrajność przeciwną, ostateczną, zaprzecza w sobie i w innych człowieczeństwo takie, jakim ono jest, i najwięcej tych wysmiewa, którzy są wierni realnemu, skromnemu człowieczeństwu i nie godzą się potwierdzić jego nowej

wisery w doskonałość upadku” (s. 392). Agnieszka zdobywa swą wartość poprzez Balcza, poprzez ów kontrast, o którym się wyżej pisało. Niespra wiedliwość utwierdza jej słuszność, jego nieosiągalne ideały zmuszają ją, „powszednią robotnicę”, do podważania wysiłków. Bohaterka powieści Macha istnieje z uporem, istnieje z relacją — tak jak w doktrynie Menesa dobro musi się gwałt poprzecz. Z zaangażowanie Agnieszki, to sprawa par excellence psychologiczna. Jakże są motywy jej niezłomności, dlaczego mimo wszystko z Chrobryczek nie ucieka? „Mój pamiętkowy ulubiony okrętek czymże jest? Znakiem mojego powołania. Ludzka obecność, niewiedza o innych i głód poznania drugiego człowieka. Przedrzeć się do cudzej obecności, złamać ją, przyswoić. A jeśli tak (...) jeśli kolumbowe wyprawy w nieświadome obszary innych ludzi zostały jej przeznaczone, to czyż ten człowiek najbardziej obcy z obcych, nie jest najbardziej naturalną częścią jej losu? Wolno jej zatem być tu, w tej chwili!” (s. 260). Balcz musi odejść. Nieprzekłiwłość ludzkich egzystencji zdaje się potwierdzić i w tym przypadku. Agnieszka nie buntuje się przeciwko temu. Zostaje jej wyznaczenie wisery w rzeczy małe, ludzkie: „Trzeba — trzeba — trzeba... Jutro. Wciąż jutro, i jutro wciąż nisko, przy samej ziemi, przy ziemi. Nie wiem, czy tak jest dobrze, słusznie, sensownie. Legenda o Anteuszu wydaje mi się płaska i mało-dusza. Moje małe trudy, małe powinności — jakże bezpamiętnie się w nich zanurzam, jakże wygodnie utrzymuję mnie w samym środku życia, z dala od skrajnych przepaści. Ale i tu, w środku przeciętności, nie brak miejsca dla rozpacz, moich małych rozpacz.” (s. 393).

Lubimy ją za te słowa. Nie kocha się bowiem triumfujących.

Wilhelm Mach — Agnieszka córka Kolumba. Czytelnik 1964 r.

PRAWDA I PLOTKA

W Polsce literatura zawsze odgrywała dużą rolę, lecz o pisarzach zawsze wiedziało się bardzo mało. Winą za to trzeba obarczyć historię literatury, która w słowach podniosłych i uroczystych zaklamywała żywe życie twórców, pochając ich, często na siłę i wbrew potrzebom, do pantonu świętości i martwoży. Coś niecoś zaczęło się zmieniać w dwudziestolecie międzywojennym, m. in. za sprawą Boya-Zeleńskiego, który ścigał pisarzy z piedestału na ziemię, by umieścić ich wśród ludzi. Ale nie tylko on przyczynił się do odbrązowienia literatury polskiej. Przypominam sobie dwutomowe dzieło Zdzisława Dębickiego pt. „Portrety”, gdzie pokazywał zasób wiadomości o pisarzach udało się zgromadzić temu zapomnianemu już dziś krytykowi. W „Portretach” znajduje się również ciekawy portret Boya, o którym Dębicki — choć był jego przeciwnikiem ideowym — potrafił napisać z uszanowaniem a nawet sympatią.

Otóż uważam, że podobną rolę jak niegdyś „Portrety” Dębickiego, mogą w naszych czasach spełnić dwie opublikowane książki Edwarda Kozłowskiego. Pierwsza z nich pt. „Między prawdą a plotką” ukazała się w r. 1961 w krakowskim Wydawnictwie Literackim, druga — pojawiła się przed paroma tygodniami, nakładem PIW, pt. „Więcej prawdy niż plotki”. Z poprzedniego tomu zapamiętałem sobie doskonale wspomnienie Kozłowskiego o Juliuszu Kadenie-Bandrowskim, ukazujące go jako postaci barwną, pełną temperamentu, choć nie zawsze sympatyczną. Tom obecny, zawierający dwadzieścia dwie sylwetki pisarzy, jest jakby kontynuacją wspomnień, opublikowanych przed trzema laty. Edward Kozłowski, który przez całe międzywojenne dwudziestolecie był sekretarzem warszawskiego Związku Literatów, stykał się

na co dzień z wieloma polskimi pisarzami tamtego czasu. Osobiste kontakty i wiedza o nich zgromadzona posłużyły mu teraz do opracowania książki, która jest nie tylko zbiorem wspomnień, lecz zarazem cennym uzupełnieniem historii literatury, bowiem Kozłowski zastanawia się również nad utworami i dorobkiem wspomnianych autorów. Najwięcej miejsca poświęca Kozłowski Emilowi Zegadłowiczowi. To jest zrozumiałe. Kozłowski należał do grupy „Czar taka”, której wodzem był Zegadłowicz, wydawali wspólnie almanachy grupy, pisywali do siebie, spotykali się bądź w Gorzeniu koło Wadowic, gdzie Zegadłowicz mieszkał, bądź w Warszawie, gdzie urzędował stałe Kozłowski. Zegadłowicz był człowiekiem, którego jedni kochali, inni nienawdzili. Trzeba przyznać, że Kozłowski wymierzył mu sprawiedliwość i próbował przedstawić go takim, jakim był w istocie. Można by rzec, że Zegadłowicz był taki, jak jego twórczość: rozbuchany i nierówny. Potoki wielosłownia rozlewały się zarówno w jego prozie jak i w jego poezji. Z ogromnej ilości wierszy, które napisał, dożył się dziś ocalałe zaledwie kilkanaście, ale są w nich rzeczy znakomite. Z prozy najgłośniejsza była jego powieść „Zmory”, która wywołała prawdziwą wrzawę. Listy pochwalne i z wymiślaniami, które autor otrzymał po ukazaniu się „Zmór”, opublikował potem w książce pt. Czytelniczy „Zmór” piszemy listy” — publikacji cennej i dziś już nie do zdobycia. Kozłowski pierwszy dał nam pełną sylwetkę Zegadłowicza, jako pisarza i jako człowieka.

W tomie „Więcej prawdy niż plotki” znajdujemy wspomnienia o pisarzach znanych i głośniejszych i o takich, którzy coraz bardziej podlegają procesowi zapomnienia. Do tych ostatnich można chy

ba zaliczyć Leo Belmonta, Edwarda Słońskiego, Aleksandra Szczęsnego, Witolda Hulewicza, Ostapę Ortwiną i Henrykę Łazewitównę. Dobrze, że Kozłowski przywraca ich pamięci, choć jest rzecz wątpliwa, czy ostania się oni w niej (tej pamięci) na stałe. Niektórzy z nich zasługują na lepszy los. Np. Edward Słoński jest autorem pięknych wierszy w opublikowanym niegdyś tomie pt. „Ta, co nie zginęła”. Leo Belmont, który sam jeden wydawał czasopismo „Wolne słowo” i sam je zapelniał własnymi pracami, dał się poznać jako znakomity tłumacz „Eugeniusza Oniegina” Puszkina. Ośmielił się powiedzieć, że jest to jeden z najlepszych przekładów tego poematu w języku polskim.

Większość jednak wspomnień Kozłowskiego dotyczy pisarzy, których gwiazda nie zbladła do dziś. Mamy wśród nich: Bolesława Leśmiana, Zofię Nalkowską, Jerzego Lieberta, Bronisławę Ostrowską, a przede wszystkim Władysława Stanisława Reymonta, odznaczającego się fenomenalnym zmysłem obserwacji i nie mniej fenomenalną pamięcią. Z historyków literatury wspomina Kozłowski pracownika Gabriela Korbuta, a z krytyków — Leona Pomorskiego, Karola Wiktora Zawadzkiego i Ostapę Ortwiną. Jest i wspomnienie o Witkacym, i o Leonie Chorońskim (nie mylić z Michałem Chorońskim, tym od „Zadłości i medycyny”), i o publicyście i polityku Wincentym Rzymowskim. Galeria ludzi nie byłaby jednak, daj nam Boże, jak mawia mój sąsiad,

Naturalnie nie wszyscy z nich byli autorami jednakowo dobrze znani. Z niektórymi pisarzami widział się Kozłowski zaledwie dwa lub trzy razy. Bardzo, na przykład, żałuje, że wspomnienie o Zygmuncie Bartkiewiczu jest tak szczupłe, może dlatego, że Bartkiewicz nie był członkiem Związku Literatów i rzadko bywał w Warszawie choć mieszkał niedaleko, bo w Brwinowie we własnym niewielkim majątku. Równie zdawkowe jest wspomnienie o Ostapie Ortwinie, choć dobrze napisane, jak zresztą cała książka. Edward Kozłowski ma pióro żywe, sylwetki przez niego kreślone, wdrażają się w pamięć dzięki plastycznej umiejętności ich przedstawiania. Kozłowski przytacza rozmowy z pisarzami, cytuje ich wypowiedzi, dziś już niedostępne, bo utopione w wywiadach prasowych, czasem okrasza wspomnienie przytoczeniem jakiegoś wiersza lub fragmentu prozy czy publicystyki. „Więcej prawdy niż plotki” to książka dobra i pożyteczna. Mało mamy publikacji tego rodzaju w naszej literaturze i to zwiększa jeszcze jej znaczenie.

Jan Kąkolowski



Rudolf Altrichter — kwiaciarka.

Notatnik KULTURALNY

21. — 27. IX. 1964 R.

PONIEDZIAŁEK

Dyrektor Teatru Nowego, Wojciech Piłarski złożył rezygnację ze swej funkcji. Stanowisko to objął znany aktor i reżyser JANUSZ KŁOSIŃSKI. Nowy Dyrektor (oraz wszyscy widzący włącznie z pasywnymi recenzentami) życzymy wielu twórczych inżynierii ciekawych sztuk.

WTOREK

Mimo najlepszych chęci nie udało się nam znikąd

zdołać dokładnych i odpowiedzialnych informacji, co ostatecznie zobaczymy w bieżącym sezonie w naszych teatrach. Ale wróble na dachu ewidentnie ze nie będzie to rok chudy.

TEATR NOWY po udanej premierze „WYBORU” JANA GAWLIKA, zapowiada m. in. architektoniczną pozycję MARLOWA „EDWARD II” i „PASTORALKE” wg Schillera. MAŁA SCENA w tym sezonie usatysfakcjonuje widza spragnionego repertuaru tzw. „nowoczesnego”, „eksperymentalnego”, czy „trudniejszego”, proponując: MROZKA „INDYKA”, BECKETTA „RADOŚNE DNI”, GORKIEGO „DZIWAKÓW”. A jeżeli się weźmie pod uwagę zapowiedzi TEATRU IM. JARACZA: WYSPANSKIEGO „WYZWOLENIE”, SZEKSPIERA „KRÓLA LEARA”, BREZY „URZĘDU” oraz TEATRU POWSZECHNEGO, który ma zamiar wystawić m. in. „DZIAŁY”, uruchomić scenkę eksperymentalną i dać parę nowości współczesnych — radość będzie pospólna i przegromna. Cieszylibyśmy się jeszcze bardziej, gdyby przyszło o dobrych chęciach, który-

mi jest piękno brulkowane, okazało się nieaktualne i gdyby jeszcze nasze teatry, które bardzo kochamy, wyzwały się odrobiny lecu przed prapremierami. Zawsze to korystanie z „ius primae noctis” jest szczytniejsze, niż branie na warsztat teatralny rzeczy wypróbowanych już przez innych.

ŚRODA

Jak dobrze jest oderwać się na chwilę od ziemskich spraw. Dała w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki odczyt jednego z najwybitniejszych uczonych polskich w tej dziedzinie prof. dr M. Bielskiego nt. „W pononi za sztuczny satelitami”. Kiedy jednak dochodzi do sedna sprawy, okazuje się, że trzeba „stać mocno na ziemi”, żeby wyszło polecieć. Wydaje się, że KMPK w nien częściej urządzać ta-

kie ciekawe odczyty, zamiast przedowywania swego programu nudnymi czasem spotkaniami, szczególnie nt. wrażeń z podróży zagranicznych, które trochę już nam się sprzykrzyły, zwłaszcza że w perspektywie mamy loty za granicę naszej planety.

CZWARTEK

Z przyłomnością obejrzałem wystawę portretów-fotografii wykonanych przez Zofię Nasierowską. Autorka prezentuje nam portrety artystów, stworzyła ona już własny, niepowtarzalny styl, potrafi ukazać twarz portretowanych osób tak, że można odczytać z tych twarzy więcej, niż tylko nastroj chwili. Ale nie wszystkie portrety, które nam prezentuje Nasierowska — mogą zachwycać. Jest tu kilka słodkich buzi młodych aktorek, aż za słodkich i to mnie trochę drażniło w czasie zwiedzania wystawy, wydaje mi się, że można je było sobie darować, tym bardziej, że wemy skądś, iż Nasierowska dysponuje jeszcze dużym zapasem naprawdę interesujących portretów.

PIĄTEK

Jestem w Grabowie — niewielkiej osadzie na trasie Łęczycza — Koło. Klub „Ruch” — ładne mebelki, aparat radiowy z adapterem, dobra kawa. Klub istnieje od marca, sprzedaje się tu gazety i to, co można nabywać w kioskach; można się napić jeszcze kawy, zjeść słodycze, a czasem, kiedy się zjedzie grupka młodzieży — nawet popłucz. I to wszystko. Nie robi się tutaj odczytów, dyskusji, wieczorów autorskich i tu można by listę ciekawych w nieskończoność. Młodzieży mamy sporo — ale niewymyślnie różnią się ta młodzież, nawet ci z ZMW, w wolnych chwilach łaził, GRN, GS i inne pożyteczne instytucje też się nie interesują organizacją tzw. „życia kulturalnego”. Słowem — imponująca beztroska. Gdzieś więc racja istnienia klubu. Myślę, że to problem ogólniejszy, w niektórych miejscowościach władze terenowe traktują kulturę, jak piątę koła u wozu. Ale po co ja tu o tym piszę, skoro „Ruch” nie daje „Odgłosów” do klubu w Grabowie, choć to nasze

SOBOTA

Tłumy, nieprzebrane tłumy zaludniają wyobraźnię Wacława Kondka wyszły i stanęły w postaci siłaków, graffiti i obrazów w salonie CBWA przy ul. Piotrkowskiej 102. Artysta — skromny, zażenowany — zarówno tłumem gości, jak i tłumem siłaków — stojący obok nich, wydał mi się nagie podobny do tych swoich postaci siłakowych, do tych ludzinków, które jakby wyszły z wierszy Leśmiana, albo z prasłowiańskich opowieści, tak on inny od wszystkich. Chyć czoło przed sztuką jednego z największych naszych artystów. Będę wracał na tę wystawę, kiedy będzie w salonie mniej gości, niż dzisiaj, abym mógł wraz z tymi glinianymi postaciami znaleźć się choć na chwilę w innym piękniejszym świecie, który powołał do życia Kondka.

NIEDZIELA

W poprzednim notatniku kulturalnym niejak pan J.H.W. straszliwie skłonił notatkę o Przewodniku Turystycznym m. Łodzi, podając nazwiska redaktorów, a opuszczając nazwiska autorów: mgr W. Musiał, doc. dr A. Rynkowski, mgr M. Juty, mgr Z. S. Dytko, inż. Wł. Kałużnego oraz J. Skoniecznego, który opracowali poszczególne części przewodnika tworząc razem pięknie i pożądaną wydawnictwo. Autorów Przewodnika autor k-nouki przeprosza i płuje sobie w brodę.

J. H. WIŚNIEWSKI

Kolegium naszej redakcji postanowiło, poczynając od września br., przyznawać nagrody pieniężne za najlepsze pozycje miesięca. Dnia 25. IX. 1964 r. kolegium uznało za najlepsze pozycje zamieszczone w „Odgłosach” w m-cu wrześniu br.: 1. Reportaż Janusza Roszko pt. „Niebieska kamienica” oraz 2. Felieton Lecha Budreckiego pt. „Zawieść”.



MICHAŁ KAJETAN

# GERMIA

Pociłem się i byłem wściekły. Przecież to bezczelność — wysłać mnie do układu Plotarha — tym „karawanem”. Nie dość, że musiałem lecieć w towarzystwie tych ciepłokrwistych Funfuanów (którzy mogą przebywać w temperaturze najmniej 40 stopni Celsjusza), nie załatwiono mi miejsca w lodowcu. Czy może być coś gorszego, jak strata trzech miesięcy w życiu na to idiotyczne siedzenie w fotelu i wyglądanie przez okienko na przelatujące planety, mgławice, śmieszne komety i inne takie rzeczy...

Mój sąsiad — dwunastorek Funfuan — jakby czując moją wściekłość, starał się mnie pocieszyć częstując cukierkiem, i co pewien czas mówił mi, że jedzie na urlop do rodziny, i że od szesćciu lat czekał na tę chwilę. Z początku zamieniłem z nim kilka zdań, ale w końcu znużyło mnie to ciągle przypomnianie tych jego szesćciu lat tęsknoty za domem, żoną, dziećmi... (Miał ich siedemdziesiąt czworo, a ja, nie słuchając tego co mówi, starałem się pomnożyć siedemdziesiąt cztery przez dwanaście rak i ani rusz to mi się nie udawało — byłem już przemęczony...).

Kiedy znów zaczął coś mówić, udałem, że jestem bardzo senny i ziewałem, on za to milki, a ja przykryłem twarz gazetą i przymknąwszy oczy myślałem najpierw o Cecylii, potem w wyobraźni pojawiła się postać mojego szefa, zawsze uśmiechniętego (nie znośmłem tego uśmiechu, wydawał mi się zbyt cyniczny), i mówiła do mnie: „to przecież bardzo proste, kolego Wejmont — ustalacie nowe orbity dla Orysony i Custanoo — przesuniecie Hermę i Kukawę do układu Kessona, i... to wszystko...”

I to wszystko... Kiedy przechodziła stewardessa, zapytałem, czy nie zwolniło się miejsce w lodowcu. Zapewniła, że kiedy się zwolni, natychmiast mnie zawiadomi. Powiedziała mi także, że najwznieśniej mogę się czegoś spodziewać dopiero za siedemnaście godzin, kiedy zatrzymamy się na Monostyri dla nabrania paliwa, i gdzie prawdopodobnie wysiądzie kilku pasażerów, którzy będą chcieli krótszą drogą dotrzeć do Gaskirii. Zszedłem na dół, do restau-

racji. Zamówiłem piwo. Na szczęście jeszcze było. Kiedy siedziałem przy stoliku i przyglądałem się uroczym Gaskiriance, bardzo zadumałem i mówiącej coś, czego ani rusz nie rozumiałem, do swojego męża, który nie dbał o opierał się na odwołku i wytrzeszczał wszystkie sześć oczu na ekran telewizora, na którym spiker telewizji gaskirijskiej mówił o ostatnich zamieszkach na Custanoo (na tle rasowym) — ktoś trafił mnie w ramię. Odwróciłem się i stwierdziłem, że to stewardessa.

— Jest dla pana wizjofonogram — powiedziała z uśmiechem, i zaraz dodała: — w szóstce centrali...  
Podziękowałem, wypłem resztkę piwa i poszedłem na górę. Po drodze dziwiłem się sobie, że nie zapytałem od kogo.

Wszedłem do kabiny, włączyłem aparat odczytowy. Na ekranie ujrzałem twarz mojej żony — Cecylii. Mówiła, że w domu wszystko w porządku. Janek wyjechał na praktykę do układu Polx. Wanda w czerwcu zdaje maturę. Wujek wręczył kupił wymarzonego Deflaxa i codziennie wyrusza na Księżyc, w poszukiwaniu ciekawych mikroorganizmów. Ona sama — Cecylia — ma zamiar wyjechać na urlop, na którąś z planet układu Plotarha i prosi, żebym jej doradził — czy to dobry pomysł. (Na pewno była u mojego szefa, i pytała o moją obecną pracę w tym układzie).

I to wszystko. Jeszcze bardziej spocony wyszedłem z kabiny. Musiałem jeszcze raz wrócić do restauracji, aby zamówić piwo. To mnie trochę ochłodziło. Pijąc, uśmiechnąłem się do uroczym Gaskiriance, która teraz grała z mężem w szachy (musieli być ostatnio na Ziemi). Jej czworo pięknych, zielonych oczu wpatrzonych było w szachownicę, a pozostałe dwa patrzyły na mnie. Mrugnęła do mnie lewym. Przesłałem jej „oko” prawym, ale kiedy jej mąż dostrzegł zainteresowanie mną, spojrzął na nią złym wzrokiem, i zwrócił uwagę aby się nie rozpraszala, po czym zamasyżował ruchem dolnego ramienia zabrał jej wieżę...

Wypłem piwo. Poszedłem do toalety, aby umyć twarz i ręce w zimnej wodzie, i zdecydowałem się wrócić na fotel.

Mój dwunastorek Funfuan spał rozkosznie. Jego trzy ramiona leżały na moim fotelu. Obudziłem go i grzecznie przeprosiłem, a on zabierając ramiona, zaczął mi opowiadać swój sen...

Spojrzałem na zegarek. Do Monostyri pozostało jeszcze dwie i pół godziny. Coraz bardziej pragnąłem znaleźć się w lodowcu. Miałem przecież już tyle siwych włosów, a przez te trzy miesiące podróży jeszcze mi ich przybędzie. (oczywiście, o ile nie dostanę przyrzeczonej od Monostyri lodówki, dzięki której oszczędzę te trzy miesiące dla mojego życiorysu).

Mój sąsiad skończył opowiadania swojego snu, zupełnie nie wiedząc, że go nie słuchałem, i teraz o coś mnie pytał. Powtórzył pytanie, a ja starałem się zrozumieć jego sens:

— Co pan o tym sądzi?  
Wzruszyłem ramionami, udając, że pytanie jest niezwykle trudne.

Spojrzałem przez okno. Przelatywały obok bardzo małej planetki, o dziwnej nazwie — Dziwniada — i bardzo mnie to zdziwiło. Najwyraźniej nasz statek zmienił trasę. Upewniłem się w tym silne działanie siły odśrodkowej, która gnioła mnie na prawą stronę fotela. Jeszcze chwila i znaleźliśmy się w stanie nieważkości. Nie rozumiałem, co mogło się stać. Znałem tę trasę bardzo dobrze.

Kiedy stan nieważkości ustąpił, chciałem udać się do kapitana statku i zapytać, co się stało, ale kapitan wraz ze stewardessą weszli do naszej kabiny, aby nas uspokoić, i zapewnić, że zakłócenie w locie nie wpłynie bynajmniej na termin przylotu. Na nasze pytanie — dlaczego zmieniono trasę lotu — kapitan odpowiedział, że musieli na-

zwyczaj poważny, zapytał mnie, czy nie czuję do nich urazy, a kiedy zapewniłem go, że nie, spokojnie i majestatycznie patrzył w kosmos.

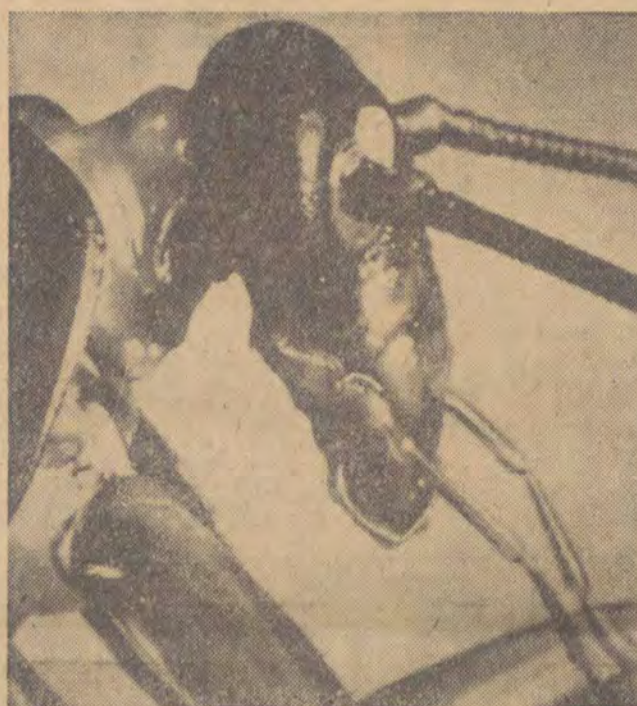
I znów dało się wyczuć działanie siły odśrodkowej. Tym razem cisnęła nas do podłogi. Kiedy jej działanie miało, za oknem przemknęły jakieś były świecące materiały, a tuż za nimi, wolno i majestatycznie balansując w stanie nieważkości — postać w mundurze.

— Zu kerra manoloz tiu kitaki, tiu oue bumbofiut? — rzekł Kukukan w okularach gorzko się uśmiechając.

— Peolo klu bumbfiut? — zapytałem zdziwiony.

— Doluto he dolukano? — smętnie mi odpowiedział.

— Heu dou... heu dou...? — przyświadczyłem, a za mną jak echo, powtórzyła reszta Kukukanów i jeden Wenwen (postać trudna do określenia, bo w zasadzie przezroczysta i bezkształtna, o konsystencji ziemskiej galaretki, bardzo ruchliwa, przelewająca się „z boku na bok”). Kiedy zniknęła postać w mundurze, ujrzeliśmy teraz przelatującą cześć jakichś konstrukcji meta-



stąpić jakaś katastrofa w kosmosie, bo na dużej przestrzeni spotyka się odłamki jakiejś planety i trzeba dokładnie je omijać.

Poczułem nagłe, że po mojej prawej nodze ktoś wspiął się do góry. Odwracając twarz ujrzałem rząd Kukukanów (siedmiocentymetrowej długości stwory, przypominające nasze koniki polne), które w bezczelny sposób wspiwały się po mojej nodze w stronę okna. Zwróciłem im uwagę, na co one odrzekły, że też chcą patrzeć przez okno, a ten który był na końcu nawet rozplakał się. Wrzuciłem mu trochę piwa, i pomógł mi dostać się na parapet. Najstarszy z Kukukanów, w czarnych okularach i nad-

lowych, a ja (znający dobrze historię ziemskiej techniki), rozpoznałem w nich — łożysko wrotni ciężkich rakiet.

— He krello manopolpo fiunk cz? — rzekłem do Kukukana w okularach.

— Fijo...? — rzucił smętnie.

Teraz za naszym oknem wolno balansując wokół osi, przelatywał cały chyba pułk tych istot z tragicznej planety. Wszyscy w szyku marszowym, wszyscy w mundurach, i wszyscy z otwartymi ustami, tak jakby „ciagnęli” jakąś samogłoskę ze słów tej pieśni, której nie było słychać. Bardzo zdziwiło mnie to, że przypominali oni bardzo nas — Ziemiaków. Różnice były tylko w szczegółach — u rąk osiem palców, brak

szczy, a nogi w myśli naszych proporcji zbyt długie.

— Tou kretonuni sssara? — wycelował mój dwunastorek Funfuan w swoim języku. Zgodziłem się z nim.

Z każdą chwilą coraz więcej przepływało przed naszym oknem rekwizywów z tej tragicznej planety; były ziemniaki, ucepionymi do nich domami, drzewami, zwierzętami, wielkie krople wody, balansujące niczym przezroczysta powłoka balonu z małą ilością w niej gazu. Na jednej z brył dojrzałem postać nie w mundurze, i to mnie zdziwiło. Kiedy znalazła się bliżej naszego okna, zauważyłem, że obok tej postaci kołyszą się książki, arkusze zapisanego papieru, a nawet maszyzna do pisania.

— Feuri kupaluno tiu atramecco? — rzekłem.

— Hiu eto smętkopolpa? — powiedział na to Kukukan w okularach.

— Hiko makiggo pulpul hahaha? — rzekł Wenwen prze mieszczając się.

— Hiu manoskopu ze trugi fudzi manijo kelko kełokko manistopisił ful, hiu kulko duracco kunkiu huraspirasso; bako futi puti, ki ki ore pupppa...? — mówił mój dwunastorek Funfuan, z czym się zgodziłem, ale moje myśli wciąż wracały do pytania: jak ta planeta się nazywała? Czyżyż to Terra? A może Gudelupassa? Nigdy na niej nie byłem, bo nie przypomniałem sobie, abym kiedykolwiek na jakiejś planecie spotkał istoty tak bardzo podobne do nas — Ziemiaków.

Kiedy byłem tak zadumany, ktoś trafił mnie w ramię. Stewardessa.

— Jest dla pana pilny wizjofonogram — mówiła — w trzeciej centrali...

— Od kogo? — zapytałem.

— Z Ziemi — rzekła śpiesznie.

Opuściłem ten interesujący widok za oknem, i pośpieszyłem do trzeciej centrali. Kiedy włączyłem aparat odczytowy, ujrzałem twarz mojego szefa. (Ach ten cyniczny uśmiezek!) Mówił do mnie:

— Drogi kolego. Przykro mi bardzo, że przeszkodziłem w podróży, ale niestety, muszę pana oddelegować do innej pracy. Zatrzyma się pan na Monostyri i poczeka na swoją brygadę, która lada dzień powinna się tam zjawić. Poprowadź pan prace przy reparaacji Germi, która tydzień temu, w dziwnych okolicznościach, rospalała się. Nasza w tym winna, że nie dopilnowaliśmy jej. To taka mała planetka, chyba nie zamieszkana, i roboty wielkiej z nią nie będzie. Po prostu ulepił pan ją od nowa. (turbozawracacze już wysłałem z ludźmi) znajdzie pan dla niej jakąś orbitę i... to chyba wszystko.

Przez chwilę jeszcze mój szef się namyślał, wreszcie rzekł:

— To chyba wszystko kolego Wejmont, z tym, że za stanawiam się — jakie malpa na tę planetę posłać. Mam parke goryll, ale boję się, że one są za mądre i zdradzają złe skłonności. Może by, tak rezusy... Zresztą to nie jest

takie ważne, ale pomyślcie kolego, aby planeta miała dobre warunki klimatyczne. Jakże zwierzęta na niskim stopniu rozwoju, możecie kolego wziąć z Monostyri czy nawet Terry, powinny się utrzymać na niej. To samo z roślinami... To byłoby chyba wszystko...

Przez chwilę jeszcze szef zamyslił się. Nic mu się nie przypomniało, wobec czego podniósł głowę i uśmiechając się (brrrr!), rzekł:

— No, to żyćce owocnej pracy! Cześć kolego! I obraz zniknął.

„Cześć kolego!”. Ech, ta praca, ci szefowie... gonia człowieka po kosmosie, a sami to siedzą przy biurkach i dębnią w nosie...

Wyszedłem z kabiny. Poszedłem do restauracji i smutno piłem piwo. Niedobry ten mój zawód. Gdy coś gdzieś się rozsyple, to nie pośła nikogo innego, tylko inżyniera Wejmonta...

— Jak się nazywała ta planeta? — zapytał barmana, przystojnego Hulla (istoty przypominające ziemskie jeże, z tym że mają śmieszne okragłe, lyse głowy). Byłem pewny, że on wszystko wie.

— Ta, cośmy ją spotkali po drodze? — zapytał. — Ta rozwalona?

Kiwnąłem głową.

— Germia — rzekł, i zabrał się do wycierania lady.

A więc to ta planetka. Dziwne, bo szef powiedział, że „chyba była nie zamieszkana”. Nie, zamieszkana, ach gdyby widział tych ludzi w mundurach, ale by się uśmieł, nie zamieszkana...

Spojrzałem w okno, za którym robiło się coraz bardziej czerwono. Po chwili ujrzałem, wylądające się oblicze Monostyri. Będzie teraz na niej siedział, i czekał na brygadę z turbozawracaczami. A tak cieszyłem się, że pojadę do układu Plotarha.

Uśmiechnąłem się smutno do uroczym Gaskiriance.

Mrugnęła do mnie pięcioma oczyma, bo szóstym patrzyła trwożliwie na męża, który podziewywał. Odmrugnęłam i poprosiłem jeszcze o piwo...

1) Doszli do wysokiego poziomu techniki, ale prymitywne instynkty ich zgubiły (kukuk.).

2) Tak pan sądzi? (kukuk.).

3) Przeważnie tak bywa (kukuk.).

4) Oj, tak, tak... (kukuk.).

5) A oto ta technika (kukuk.).

6) Ba... (kukuk.).

7) Ach, biedne sssara (Funfuan). (Sssara — zwierzę doskonale znane Funfuanom, i doskonale zastępujące im naszego osła).

8) Ten człowiek, to chyba poeta (kukuk.).

9) Jakż to smutny (kukuk.).

10) Z czego ma się cieszyć (kukuk.).

11) Śmieszne, że kiedy istoty zamieszkujące jakąś planetę są bliskie „życiu kosmicznemu”, giną pożarte przez prymitywne instynkty walki, niszczenia; słowem ich umysły na wysokim poziomie gubi brak rozsądku i opamiętania, jak też... (Funfu.).

## Lewym okiem



PAN CHYBA UMIE CZYTAĆ?

Wiadomo, że z wyjątkiem indywidualnych aktów miłosierdzia oraz świadczeń publicznych ze strony ogólnych organizacji na rzecz licznych, ale odrębnie traktowanych jednostek ludzkich, wszystko odbywa się pomiędzy nami na zasadzie — sobie sobie, mnie panna. Gest za gest, dobro za dobro, usługa za usługę, dobrze za usługę, za usługę kelnera placę dziesięć procent plus pomyłka w rachunku, za działalność rozrywkową jeszcze piętnaście procent, przy których znów można się pomylić. Chcę jechać pociągiem — kupuję sobie to prawo. Zaraz: a co kupuję, placąc dwa złote za bilet peronowy? Jakże nabywam prawo?

Nie bardzo wiem, dlaczego wejście na stanowiska PKS z jednej strony budynku jest bezpłatne, a na stanowiska PKP, czyli na perony, z drugiej strony budynku — płatne. Nie jest chyba działalnością rozrywkową gwizdanie lokomotywu

i machanie chorągiewkami, a tym bardziej — plac rozstającej się z żołnierzem dziewczyną.

Pisano już o tym i mówiono parę lat temu, po co więc odgrzebywać stare i odfałkowane sprawy? Zniesiono przecież wówczas groźnych bileterów, drzemających we wszystkich wejściach i wyjściach, opustoszały wdziczące oszklone budki, wykazano oszczędności etatowe, na perony wchodził kto chciał i okazało się, że ani tych chcących nie było więcej, ani dochody PKP nie zmalały. Być może, że kilku starszków pozabawiono możliwości dorabiania bokami za parokrotne sprzedanie tej samej peronówki, ale i to już mało komu się opla cało. Wreszcie — skoro w mniejszych miastach nikomu nie przychodziło do głowy inkasować takse klimatyczną za kwadrans oddychania dymem i parą, to dlaczego nabierać na ten kawał mieszkańców Łodzi, Warszawy i Kielce?

Rychło okazało się jednak, że kawał nie jest taki natworny. Budki opustoszały, przez parę miesięcy chodziliśmy dumni z okazanego nam zaufania, odprowadzaliśmy nasze ciocie aż do stopni wagonu gratis, zupełnie jak na tramwaj lub autobus. Przejścia stały otworem, przyznając, że bardzo lubię takie przejścia, oby ich było jak najwięcej. Tylko że gdzieś z boku stał sobie ktoś umundurowany lub nie i zacierał rączki. Wchodźcie, wchodźcie, robaczki — myślał zapewne i uśmiechał się błogo — dwidzestka od każdego z was leci jak złoto. Pan nie zapłaci? Nie szkodzi, spiszemy

protokołki, ugdzie kosztował drożej. Pan chyba umie czytać?

Rzeczywiście, jest taki napis, a przedtem go nie było: wejście na perony bez biletu lub peronówki wzbronione i tak dalej. Faktycznie, jest. Przegraliśmy. Przegraliśmy zanim rozdano karty. Przegrany zawsze płaci. A wygrany — czy nie jest mu trochę wstyd?

To już lepiej niechby stali ci bileterzy w budkach. Albo niechby ich zastąpiły automaty: Zapłacisz — podnieś się bariarka i przepuści; nie zapłacisz — spadnie ci uprost na lysinę. Można by nawet takie automaty ustawić gdzieś, na przykład w wejściach do przedsiónek teatralnych i kinowych, do większych sklepów, na skrzyżowaniach ulic, na ementarzu... pardon, na punkcie zbiorowego wytchnienia.

Jeżeli zaś po bliższym zbadaniu okaże się, że nie ma się czego wstydząć, to proponuję dla odmiany ustawić wszystko jedno gdzie, weźmy — przy drodze wiodącej przez las do jedynego strzeżonego kapieliśka, niedużą tablicę: wstęp do lasu wzbroniony pod karą... Potem inkasuje się kary zarówno od tych, którzy kąpią się w miejscach nie strzeżonych, jak i od tych, którzy do strzeżonego miejsca idą przez strzeżony las. Czytać przecież umieją.

Nie śmieję się. Takie tablice już stoją. Wiem nawet, gdzie.

CWIEK